

AZZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PORTALOWY KW WARSZAWA



2(8)/2004
bezpłatny

www.kw.warszawa.pl



ISSN 1641-9359



wspiera się Krzysztof Sadlej
fot. Wojciech Ryczer



HiMountain

www.himountain.pl

Dla członków KW Warszawa **10%** zniżki w sklepach: CH Reduta Al. Jerozolimskie 148, Warszawa Janki ul. Mszczonowska 3, Warszawa Centrum Handlowe Arkadia Rondo Babka, oraz sklepie internetowym www.sklep.himountain.pl

Książka wyjść

Słowo od Prezesa	4
GRAN PARADISO - Letni obóz KW Warszawa	5
My są już Amerykany	16
KAUKAZ po raz ...	24
Pik POBIEDY - Góra (naszego) zwycięstwa	32
Wspomnienia Ziomka, czyli ...	38
Orzeł KW 2004	43
Rozmowy niekontrolowane - Mark Synnott	44
Jak zostałem Alpinistą c.d. - Decydujące starcie	54
Rzyg kamienia	59
Sezon 2004 w Polskich Tatrach Wysokich	60
Ekstremalne hakówki Tatr Zachodnich	68
A/ZERO TOPO	70
Klubowo z Satelity	80
Kącik propagandowy KW Warszawa	82
Informacje KW Warszawa	83

AZero - Biuletyn Informacyjny - Propagandowy K.W. Warszawa
 Nr 2 (8)/2004
 ISSN: 1641-9359
 Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa
 Redakcja: Marek Libront, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski

Do powstania numeru przyczynili się:
 Marcin Chmieliński, Grzegorz Głazek, Jan Gondowicz, Tadek Grzegorzewski,
 Paweł Karczmarczyk, Radek Kołodziński, Tomasz Kopyś, Maciek Kubera, Janusz Kurczab,
 Kursant, Małgorzata Laskowska, Marcin Miotk, Piotr Panufnik, Paweł Przybysz,
 Ania Samocka, Paweł Strzelecki, Mark Synnott, Ziemowit Wirski.

Kontakt z Redakcją:
 e-mail: paszczak@qdnnet.pl; mariusz.wilanowski@bgk.com.pl

W biuletynie piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia.
 Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej
 odpowiedzialności za jakiegokolwiek wypadek powstałe podczas uprawiania sportów
 propagowanych na łamach AZero. Nie próbujcie tego w domu.
 Redakcja AZero nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych
 na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za zgodą Redakcji
 AZero.

Okładka przód i tył:
Andrzej Marcisz na Mnichu. Fot. Tadek Grzegorzewski/MONTANO



Słowo od Prezesa

Każdy z Was kiedyś zetknął się - przeważnie przy okazji placenia składek - z Funduszem Berbeki. Jest to szczególna instytucja, która, jak mi się wydaje, stanowi wyraz pewnej środowiskowej więzi, jaka cechuje ludzi gór. Historia funduszu sięga tragicznego wypadku, jaki zdarzył się w Alpach w roku 1964. Utalentowany alpinista Krzysztof Berbeka, podczas zejścia z Dent d'Herens w towarzystwie swego partnera - Jerzego Hajdukiewicza, złamał obie kostki w wyniku prawie 200-metrowego lotu zespołu. 4 dni alpinści czekali na pomoc i Berbecę udało się odmrozić. Wydawało się, że wszystko skończy się dobrze - ratownicy dotarli w porę i wszystkich uczestników zejścia (bo byli tam także Niemcy) otransportowano do szpitala. Niestety - po kilku dniach, w wyniku powikłań i zatorów, Krzysztof zmarł. Pozostawił żonę i dwóch synów.

Spontanicznie zawiązał się wtedy ruch na rzecz niesienia pomocy jego rodzinie, i tak powstał Fundusz Berbeki. Nie uszyscy wiedzą, że Fundusz nie jest jednorodny - przeważnie każdy z klubów ma swój fundusz wewnętrzny, a ponadto większość z nich - w tym regularnie nasz - wpłaca datki na fundusz centralny, który znajduje się w dyspozycji PZA. Wpłaty są w całości przekazywane potrzebującym i nie mogą być użytkowane na jakiegokolwiek inne - jakkolwiek mogłyby być ważne - cele.

W ciągu ostatnich lat wpłaciliśmy ok. 3000 tys zł do funduszu centralnego, a w ramach klubowego wpłaciliśmy ok. 10 tys zł.

Muszę powiedzieć, że w ostatnim czasie obserwuję jednak wzrastającą skromność wpłat, a nawet ich brak w ogóle. Parę lat temu było nie do pomyślenia, aby opłacający składki zadeklarował, że nie wpłaci na FB. Dziś robi się to niestety dość powszechne, ale wynika, mam nadzieję, z braku informacji o celach i istocie funduszu, a nie ze zwykłego skąpstwa czy tumi-wisizmu. Starsi koledzy nigdy jednak nie zapominają, a wpłaty niektórych z nich są zawstydzająco (dla nie płacących) wysokie, zdarzają się 50-cio, a nawet 100-złotowe datki. Jeden z kolegów co miesiąc regularnie wpłaca po 70 zł! Wiadomo, młodzieży się nie przelewa, ale czy choćby dla samego poczucia udzielenia pomocy rodzinom kolegów nie warto odżalować 10-ciu złotych? A tymczasem nazbyt często słyszymy usprawiedliwiające „dzisiaj nie mam”. Czy wyjaśnieniem jest rzeczywiście wzrastające zbiednienie, czy może winić należy rozpad tej górskiej więzi? Mam nadzieję, że ten drugi powód nigdy nie okaże się prawdą, bo argument udanej „Akcji Śmigło” nastraja mnie jednak umiarkowanie optymistycznie.

Tymczasem za nami udany wspinaczkowo rok. Obydwa obozy - zimowy w dolinie Mieguszwieckiej i letni w Valle del Orco - pokazały, że chęci do wspinania nie brakuje, i że można liczyć na wysoką frekwencję, nawet jeśli jest to związane z przejazdem przez pół Europy. Myślę, że nikt, kto odwiedził przepiękną Alpy Piemontkie, z pewnością tego nie żałował i wiele osób w ten rejon powróci. Tymczasem przed nami zimowy wyjazd do Śląskiego Domu i pozostaje mi tylko życzyć i sobie, i Wam, pięknej pogody, betonów i po prostu dobrej zabawy.

Do zobaczenia w górach!

Artur



GRAN PARADISO

VALLE DELL'ORCO

Letni obóz KW Warszawa

Mega klasyk Doliny - Fessura della Disperazione 6a+

fol. Mariusz Wilanowski

To była nasza druga przymiarka do wyjazdu w rejon Gran Paradiso. Kiedy po raz pierwszy wpadliśmy na pomysł, żeby tam pojechać okazało się, że znalezienie konkretnych informacji dotyczących tego rejonu jest prawie niemożliwe. Zaczęliśmy przepytывать znajomych i grzebać w Internecie. Znajomi coś słyszeli, w Internecie znaleźliśmy jedynie strzępki informacji. Kiedy zrezygnowani postanowiliśmy sobie odpocząć, zdarzył się cud, a przybrał postać przewodnika z 1982 roku. Nasza radość nie trwała jednak zbyt długo, gdyż okazało się, że z tzw. przyczyn obiektywnych musimy wyjazd odwołać. Pomysł przeleżał wraz z przewodnikiem na półce parę lat.

Tymczasem zbliżało się kolejne lato, wraz z nim letni obóz klubowy. Jak co roku pojawiło się pytanie „Dokąd jedziemy?”. Powrócił pomysł sprzed lat. Wygrzebaliliśmy ksero naszego przewodnika i zasiedliśmy przed komputerem. Ku naszemu zdumieniu okazało się, że właśnie przed chwilą wyszedł zupełnie nowy przewodnik, obejmujący obszar Parku Narodowego Gran Paradiso, napisany przez Włocha Maurizioa Oviglię, znanego m.in. jako autor znakomitego przewodnika po Sardynii. Jeszcze tego samego wieczoru wystaliśmy maila z zamówieniem. Tydzień później dotarł przewodnik. Rozpoczęliśmy urabianie kolegów, którzy mieli inne pomysły. Nie było łatwo, gdyż prawie każdy miał swoją własną wizję wyjazdu klubowego. Koniec końców postanowiliśmy zrobić głosowanie i pomysł przeszedł.

Park Narodowy Gran Paradiso, leży w północno-zachodniej części Włoch, w Alpach Graickich, pomiędzy masywem Vanoise a doliną Aosty. Najwyższym szczytem masywu jest Gran Paradiso, który wznosi się na wysokość 4048 m n.p.m. Jest on jednocześnie najwyższym szczytem całkowicie włoskim, gdyż pozostałe wyższe czterotysięczniki leżące na terenie Włoch są wierzchołkami granicznymi. Wejście na wierzchołek

nie stanowi trudności dla wspinacza.

Dolina Orco, biegnąca ze wschodu na zachód, to jedna z najdłuższych dolin masywu - jej długość wynosi ok. 40 km. Rejony wspinaczkowe znajdują w górze doliny, wokół miasteczek Noasca i Ceresole Reale. Tam też znajdują się kempingi.

Valle dell'Orco jest jednym z tych rejonów, który jest w stanie zaspokoić apetyty wspinaczy o różnych preferencjach. Skatkowci mają do dyspozycji wiele rejonów w odległości od 5 do 10 minut od samochodu. Poszukiwacze górskiej przygody mogą zaszyć się w jednej z licznych dolin, gdzie na pewno będą mieli w czym wybierać. Bliskość rejonów skatkowych sprawia, że w razie niepewnej pogody stanowią one miłą alternatywę. Niestety wiąże się z tym również pewne niebezpieczeństwo: mogą wptywać destrukcyjnie na działalność górską. Chcąc wspiąć się w górach trzeba się liczyć z dość długimi podejściami (3 godziny to minimum), a sąsiedztwo wielowyciągowych, litych, granitowych skał o rzadko w Europie spotykanych formacjach, stanowi niemałą pokusę.

To właśnie ze względu na rodzaj granitu i formacje tam występujące, dolinę Orco europejscy wspinacze zwykli określać „małymi Yosemiteami”. Nieobcy w takim terenie wspinacze mogą liczyć na dobrą zabawę. Zestaw dużych friendów i kości obowiązkowy.

Warto również wspomnieć, że dzięki położeniu na południe od głównych masywów alpejskich, dolina Orco znana jest z dobrej i stabilnej pogody. Tym samym wydaje się być świetnym celem na kilkudniowy wypad z rejonu Chamonix, gdy nie ma tam warunków (odległość z Chamonix do Ceresole Reale to 150 km). Zimą cały masyw Gran Paradiso staje się mekką skialpinistów, oferując idealne warunki do uprawiania tej dyscypliny. Północne doliny, Valsavarenche i Val di Cogne, zapewniają mnóstwo dobrej zabawy miłośnikom lodospadów.

VALLE DELL'ORCO

tekst: Małgorzata Laskowska i Marcin Chmieleński

POŁOŻENIE I DOJAZD

Park Narodowy Gran Paradiso znajduje się we Włoszech, ok. 50 km na północny zachód od Turynu. Z Polski najlepiej jechać przez Wiedeń, następnie autostradą A2 w kierunku Graz i Wenecji, skąd autostradą A4 przez Weronę i Mediolan w kierunku Turynu. Przed Turynem skręcamy w prawo w autostradę A26 do miejscowości Ivrea. Tu zjeżdżamy z autostrady i drogą 565 kierujemy się do Cuorgne. Dalej przez miasteczka Pont Canavese, Locana, Noasca oraz 3,5 km tunel dojeżdżamy do miasteczka Ceresole Reale, gdzie najwygodniej jest założyć bazę do działalności w Valle dell'Orco i okolicznych dolinach masywu Gran Paradiso.

Chcąc dostać się do doliny Valsavarenche położonej po północnej stronie masywu, skąd wiedzie turystyczna droga wejściowa na szczyt Gran Paradiso, należy dojechać autostradą wiodącą doliną Aosty do miejscowości Villeneuve położonej pomiędzy Aostą a Courmayeur. Z Villeneuve przez wioskę Introd wjeżdżamy do doliny Valsavarenche. Jedziemy doliną około 20 km do wioski Pont, w której na ogromnym parkingu przed wyjściem w góry zostawiamy samochód.

Uwaga: bezpośrednia droga z Ceresole Reale do Pont przez Colle del Nivolet, pokazana na wielu mapach, jest na pewnym odcinku nieprzejezdna dla samochodów.



Vallone di Piantonetto
fot. Małgosia Laskowska

Uczestnicy wyjazdu (na zdjęciu brak kilku osób)
fot. Paweł Strzelecki





Sierżant (Sierżant) fot. Małgosia Laskowska

Paweł Strzelecki na jednym z wielu rajbungów Sierżanta fot. arch. Paweł Strzelecki



REJONY SKALNE VALLE DELL'ORCO

Główne rejony skalne doliny oferują niezwyklej urody wspinanie w litym granicie - płytach i idealnie równych rysach, które przypominają granitowe rysy w USA. Nie bez powodu najtrudniejsza rysa Europy - Greenspit 8b+ znajduje się właśnie w Valle dell'Orco, w Rosone. Również nie bez powodu Greenspit nie oferuje żadnej stałej asekuracji poza możliwością osadzenia małych friendów. W odróżnieniu od innych gór i skał Europy, uroda rys w Valle dell'Orco nie została zrujnowana przez rządki wbitych obok spłiwów; wszystkie drogi tego typu zostały konsekwentnie pozostawione do prowadzeń z własną asekuracją. We wszystkich rejonach skalnych przydaje się komplet ekspresów na ospitowane drogi płytowe oraz kości i friendy różnych rozmiarów na drogi w rysach.

Sergent

Sergent to trzystumetrowa ściana w kształcie kopuły oferująca około 40 dróg o długości od 1 do 7 wyciągów i trudnościach od 5c do 8a. Jest największym i najbardziej znanym sektorem w dolinie Orco. Nie sposób dokonać wyboru najładniejszych dróg nie przepisując jak leci całych stron przewodnika. Jest jednak kilka, które stanowią absolutną ekstraklasę:

Miroir d'Oc 6c+, jak nazwa wskazuje, tarciove lustro;

Apparizione del Cristo Verde 6b, 7 wyciągów po tarciowych płytach;

Diedro del Mistero 6b, przewieszzone zacięcie;

Battesimo del Fuoco 7a+, 7 wyciągów w pionowych płytach i przewieszonych zacięciach;

Nicchia delle Torture 6b, wiodąca charakterystyczną pozalamywaną rysą na duże friendy;

Paperin Colpisce Ancora 6b+, techniczna płyta;

Incastromania 6a; niesamowita rysa wygięta w półokrąg;

Fessura della Disperazione 6a+, 90-metrowa diagonalna przerysa, asekuracja tylko z friendów Nr 4 i większych, zalecany zestaw Camalotów Nr 5;

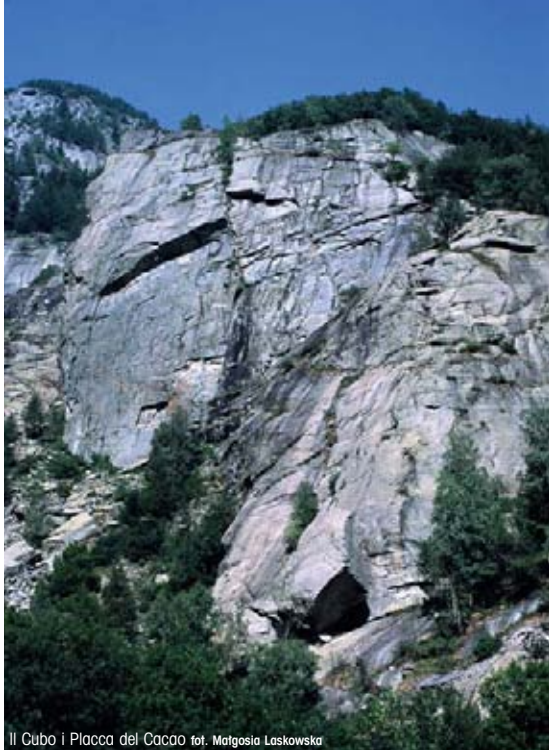
Gli Angeli della Morte 7b+/7c, wspinanie ścianą odstrzelonego obelisku.

DOJAZD: Z Ceresole Reale zjeżdżamy w dół do tunelu. Tuż przed jego wlotem odbijamy w prawo i po przejechaniu ok. 200 metrów parkujemy naprzeciw głównego spiętrzenia przy nieczynnym kamieniołomie (charakterystyczny stalowy trójnóg do podnoszenia kamieni). Aby dostać się pod główne spiętrzenie, kierujemy ku prawemu skrajowi kamieniołomu, skąd wyraźną ścieżką podchodzimy ok. 15 min. ostro pod górę.

Caporal

Caporal to drugi, po Sergencie klasyk doliny. Jest niższy (200 m), ale oferuje wymagające i spektakularne wspinanie w przewieszonych rysach, zacięciach i okapach. Większość z około 18 dróg to ukłasyzczone hakówki o trudnościach do 8a+ z przewagą 7a- 7b+, choć są również szóstki. Nie muszę dodawać, że wszędzie tam, gdzie to możliwe obowiązuje własna asekuracja.

DOJAZD: Z Ceresole Reale zjeżdżamy w dół i wjeżdżamy do tunelu. Jadąc powoli, mniej więcej w jego połowie znajdujemy po prawej stronie okno z możliwością wyjazdu na zewnątrz. Skręcamy tam i parkujemy na zakręcie starej, nie używanej drogi. Caporal wznosi się nad tunelem, lekko z prawej strony. Podejście po granitowych gładzach.



Il Cubo i Placca del Cacao fot. Małgosia Laskowska



Marcin Chmieleński na Incastromania 6a fot. Paweł Przybyśz



Paweł Przybysz na Paperinik Colpisce Ancora 6b+ fot. arch. Paweł Przybysz

Torre di Aimonin

Torre di Aimonin to skała o wysokości około 150 m z poprowadzonymi dwudziestoma drogami. Drogi mają długość 2 do 5 wyciągów i trudności od 5c do 7c, z których większość stanowią drogi o trudnościach od 6b+ do 7a. Sektor oferuje eksponowane wspinanie, wymagające stosowania własnej asekuracji w zacięciach i rysach.

DOJAZD: Skała jest dobrze widoczna z miejscowości Noasca. Samochód można zostawić na centralnym placu miasteczka. Podchodzimy w kierunku wodospadu, stąd ścieżką w prawo. Czas podejścia - 20-30 min.

Placca del Cacao i Cubo

Są to dwa sąsiadujące ze sobą sektory oferujące zróżnicowane wspinanie. Placca del Cacao jest sektorem mniej wymagającym, dobrym na rozwspinanie lub dzień odpoczynkowy i oferuje 10 dróg o długości do 3 wyciągów i trudnościach 5c- 6c. Cubo jest sektorem nieco trudniejszym. Znajdziemy tam 7 tarczowych dróg o długości do 5 wyciągów i trudnościach od 6b do 7a+.

DOJAZD: Z Ceresole Reale zjeżdżamy w dół i przejeżdżamy przez tunel. Około 50m za jego wylotem skręcamy w prawo i po przejechaniu ok. 300 metrów parkujemy naprzeciw dobrze widocznych skał. Po 5 minutach jesteśmy pod skałami. Uwaga na żmiję!

Placca dei Cavalieri Perdenti

Placca dei Cavalieri Perdenti to kolejny rejon płytowy. Oferuje drogi o umiarkowanych trudnościach, może być jednak pouczający dla tych, którzy nie czują się zbyt pewnie w tego typu formacjach. Znajdziemy tam około 13 ospitowanych dróg o trudnościach od 5 do- 6a+ i długości od 30 do 100m (nie wszystkie są opisane w przewodniku).

DOJAZD: Parkujemy tak jak pod Placca del Cacao i Cubo. Możemy pojechać ok. 400m dalej przejeżdżając pod wielkim, wywieszającym się nad drogą głazem i spróbować zostawić samochód na następnym zakręcie. W tym miejscu znajdujemy wyraźną ścieżkę prowadzącą w prawo do góry. Podejście około 20 min. Tutaj również należy uważać na żmiję!

Obozowisko w Ceresole Reale fot. Mariusz Wilanowski





Marcin Chmieleński na jednej z nowo obitych linii na Sierzancie (podobno trudne) fot. Paweł Strzelecki



Becco Meridionale della Tribolazione w Vallone di Piantonetto fot. Małgosia Laskowska

GÓRSKIE DROGI POŁUDNIOWEJ CZĘŚCI MASYWU GRAN PARADISO

Pomimo, że w rejonie Gran Paradiso jest kilkanaście dużych górskich dolin, my ograniczyliśmy się do działalności w Vallone di Piantonetto, osiągalnej samochodem z Ceresole Reale w ciągu godziny. Godne polecenia wydają się drogi na Becco Meridionale della Tribolazione i Blanc Giuir po lewej stronie doliny z drogami o długości od 7 do 11 wyciągów oraz największa ściana, Becco di Valsoera po jej prawej stronie. Ściana ta, zadziwiająco podobna do Niżnych Rysów, oferuje 13 dróg o długości do 550m i trudnościach od 5a do 7a+ w swej lewej części oraz osiemsetmetrowy filar centralny z czwórkową drogą Leonessa - Tron. Warto dodać, że czas podejścia pod każdą ze ścian to około 3 godzin. Inną opcją jest nocowanie w schronisku Rifugio Pontese położonym w centralnej części doliny, co jednak tylko w niewielkim stopniu poprawia nasze położenie. Jeżeli planujemy dłuższą działalność w dolinie, najrozsądniejsze wydaje się po prostu zabiwakowanie pod ścianą.

DOJAZD: Z Ceresole Reale zjeżdżamy w dół przez miasteczka Noasca i Fornolosa do Rosone. Tu, obok budynków elektrowni, skręcamy ostro w lewo (uwaga, wąską drogę łątowo przegapić) i stromo w górę krętą drogą wjeżdżamy do doliny Piantonetto. Po kilku kilometrach podjazdu droga asfaltowa zmienia się w szutrową prowadząc stromo pod górę do sztucznej zapory.

Tuż obok zapory jest parking, do którego należy dojechać nie zważając na pojawiające się wcześniej znaki zakazu wjazdu.

PRZEWODNIKI I INFO

Najnowszym i niewątpliwie najlepszym przewodnikiem po skalnych rejonach i drogach masywu Gran Paradiso jest „Rock Paradise” autorstwa Maurizio Oviglii z 2000 roku. Pomocny jest również obszerny artykuł o wspinaniu w Valle dell'Orco z czasopisma Klettern 5/98 i przewodnik „Gran Paradiso e Valli di Lanzo” autorstwa Gian Carlo Grassi z 1982 roku.

SPANIE I ZAKUPY

Najlepszym miejscem do założenia bazy wypadowej jest ciche miasteczko Ceresole Reale położone nad sztucznym jeziorem w głębi doliny Orco, około 45 km od jej wylotu. Dysponuje ono kilkoma kempingami, z których najsympatyczniejszy wydaje się Piccolo Paradiso, usytuowany około 2 km powyżej miasteczka, za jeziorem. Jest on również w miarę niedrogi oraz co najważniejsze, zaciszny i częściowo ocieniony drzewami. Właściciele pozwalają też rozpałać ogniska. Zakupy można zrobić w małych sklepikach w Ceresole Reale i Noasca. Najbliższy supermarket znajdziemy dopiero w Pont Canavese i Cuorgnè, w odległości około 40 km od Ceresole Reale. Nie należy również wjeżdżać do doliny z pustym bakiem - ostatnia stacja benzynowa znajduje się w miejscowości Locana.



Some kind of monster
fot. Mariusz Wilanowski

Sezon zimowy już w pełni i raczej powinienem być myślami gdzieś na północnej Giewontu niż wracać do wydarzeń sprzed pół roku.... Jednak pomimo upływu czasu, w głowie cały czas przewijają się obrazy z Parku Narodowego Gran Paradiso, gdzie odbył się obóz klubowy. Stojąc przed zadaniem napisania krótkiego tekstu z wyjazdu, zastanawiałem się, jak ująć w słowa, to co było udziałem licznej grupy ludzi przez dwa słoneczne tygodnie. Przecież każdy z nas ma inne odczucia, inaczej odbiera to, czego doświadcza: góry, wschody i zachody słońca, radość ze wspinania i smak wina.

„Some kind of monster”

Drugiego dnia pobytu na campingu w Ceresole, zanim padłem porażony rajbungami i nysami na „Sierżancie”, zawitali prosto z Chamonix Paweł z Hubinem, a właściwie z osobą wcześniej znaną jako Hubin. Wygląd naszego kolegi mógł zdradzać albo ciągłą działalność przez ostatnie pół roku pod Cerro Torre w totalnej dupowie albo ... sam nie wiem. Co by nie mówić w pierwszym tygodniu wyjazdu Hubin był największą atrakcją na naszym obozowisku.

Walka o ogień
fot. Paweł Przybysz



Walka o ogień

Ognisko - nieodłączny element każdego wieczoru w Ceresole. Od samego wpatrywania się w żar ogniska dawano się odczuć jakąś magiczną atmosferę. Długie rozmowy często do późna w nocy o tym, co ważne w życiu, o mijającym dniu i planach na dzień kolejny. Przy ognisku rozkwitało życie towarzyskie uczestników wyjazdu i jak dla mnie były to, nie licząc wspinania, najprzyjemniejsze momenty wyjazdu. Wieczorny rytuał ogniska nie byłby dopełniony bez degustacji wyrobów z miejscowych winnic, co w niektórych uczestnikach dysput wyzwalalo pierwotne instynkty.

KOŃCA UTRACONY

tekst: Mariusz Wilanowski

Nie podejmuję się tego zadania. Pisanie zaś kolejnego suchego sprawozdania, wymienianie pokonanych dróg, zaliczonych szczytów i wycofów, według mnie trąciłoby nudą. W zamian chciałbym podzielić się więc tym, co najbardziej utkwiło mi w pamięci z tego wyjazdu. Mam nadzieję, że niektóre z opisanych poniżej zdarzeń są także tematem wspomnień pozostałych uczestników wyjazdu, ludzi którzy dzielili ze mną te dwa tygodnie w Alpach Piemonckich. Wszystkie zdarzenia i odczucia opisane poniżej są dla mnie równie ważne, a ich kolejność ma wyłącznie charakter chronologiczny.

Rajbungi i morze granitu

Przyznam, że „Sierżant”, ściana będąca wizytówką rejonu, z daleka mnie nie powalił. Dopiero pod ścianą i w samej ścianie doświadczam się niezwykłości tego miejsca. Nie bez powodu lokalsi nazywają ten rejon „Little Yosemite”. Skorzarzenia z El Capitanem nasuwają się same: nachylone pod różnymi kątami ogromne płyty granitu, wspinanie po niczym, walka z błędnikiem i sprawianie, że niemożliwe staje się możliwym. Rysy wycięte w morzu granitu jak od pociągnięcia brzozy. Wzorec tarcia i litych skał zupełnie jak wzorec metra znajdujący się pod Paryżem.



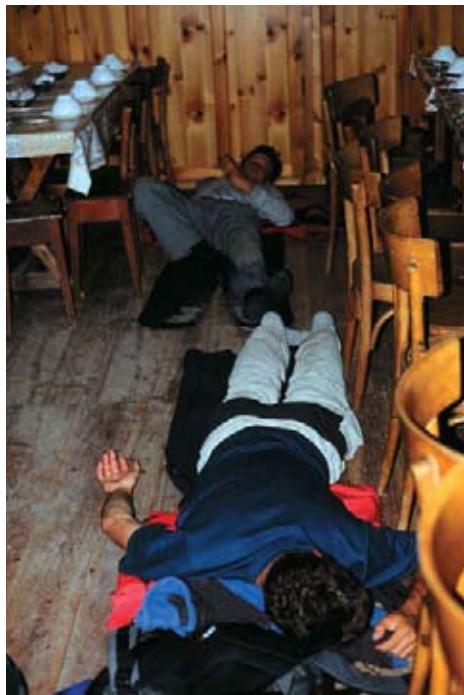
Zmagania z grawitacją
fot. Mariusz Wilanowski

A świstak siedzi i zawija w sreberka

Gdzieś w potowie wyjazdu stwierdziliśmy, że warto byłoby wdrapać się na najwyższy szczyt regionu - Gran Paradiso. Postanowiliśmy zaoszczędzić na benzynie i do miejscowości Pont, głównego punktu wypadowego na Gran Paradiso dostać się przez góry, szlakiem biorącym swój początek na Col du Nivolet. Po przejściu kilkuset metrów dało się słyszeć charakterystyczne gwizdy świstaków. Chwilę później dostrzegłem pierwsze osobniki. Pomyślałem, że jestem szczęściarzem, bo w Tatrach do tej pory widziałem świstaka może dwa razy. Tutaj były ich dziesiątki, dużo większe od tych naszych z Dolinki za Mniczem. Dziwne, ale w ogóle nie uciekały, stały 4-5 metrów od nas przypatrując się nam z zainteresowaniem. Gdyby czas nie nagleł, można by przyglądać się im godzinami.

Królestwo świstaków
fot. Mariusz Wilanowski





Apartament dla VIP-ów w schronisku Vittorio Emanuele II
fot. Mariusz Wilanowski

Noc przed bitwą

Siedzimy na zewnątrz schroniska Vittorio Emanuele II pod Gran Paradiso. W środku tłok nie do zniesienia, jak w każdy weekend. Już ruszając z Ceresole i wiedząc, że nie ma wolnych miejsc, postawiliśmy wszystko na jedną kartę, nie zabierając nic do spania. Miało być „light and fast”. Nawet wyraźna informacja w kilku językach przy wejściu na szlak, że wszyscy bez rezerwacji będą bez względu na porę dnia wyrzuceni ze schroniska jakoś nas nie zniechęciła. Przecież „jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było”. Szybki rekonesans wykazał, że okoliczne koleby pachną, jak buda Toi-Toi, zresztą do spania i tak nie mieliśmy nic poza tym co na sobie. Aby uniknąć wcześniejszego relegowania na dół zamawialiśmy co jakiś czas litr herbaty za 2 euro. Czas mijał jednak nieubłaganie i trzeba było zacząć działać. Dżosz desygnowany na naszego przedstawiciela poszedł dogadywać się z wyglądającym, jak członek rodziny Soprano facetem z recepcji. Na początku gość wyglądał na niewzruszonego, ale każdy by zmiękł po godzinnym wystukiwaniu padających jeden po drugim argumentów: two thousand kilometers ... please ... please. O 23 wpuścili nas na podłogę do stołówek ... za darmo. O 3 nad ranem wyrzucili.

Ps: W zanadku miałem przygotowanego absolutnego „hiciora”, po którym właścicielowi schroniska nie pozostałoby nic innego jak przygotować dla nas najlepszy pokój, a miłanowicie poinformowanie, że wśród naszej czwórki jest „vice president KW Warszawa”.

(Dżosz)

Tramwaj na GP

Noc była rzeźka. Niebo rozświetlały miliony gwiazd i ... setki czołówek na morenie wyprowadzającej na lodowiec. Tłum klientów uwiązanych w pęczki linami do przewodników mozolnie przestępował z nogi na nogę powoli pnąc się w górę. Czy na tym ma polegać obcowanie człowieka z górami? Byłem zniesmaczony i zastanawiałem się, czy nasza taktyka, by ich wszystkich puścić przodem okaże się słuszną. Tak jak myślałem, wyprzedzanie kolejnych osób było katorgą, nie dano się pojedynczo, bo byli powiązani liną po kilka osób. Albo więc wyprzedzasz cały „tramwaj” albo w ogóle. Takie zrywy dobijały mnie kondycyjnie. W końcu jednak dotarłem do szczytu w czołówce stawki, jeszcze przed najgorszym „kotłem”. Patrząc w dół woląłem nie myśleć o tym, co się będzie działo w zejściu. Póki co przez te kilka chwil, sam na szczycie napawałem się cudownym widokiem. Dla tych kilkunastu minut warto byłoby wyprzedzić nawet dwa razy tyle osób na podejściu.



Tramwaj na Gran Paradiso
fot. Paweł Strzelecki

Raz, dwa, trzy, cztery

Do stanowiskowej półty, niewidzialnej z miejsca gdzie stoję, dzieli mnie raptem 4-5 metrów. Lina ginie gdzieś za krawędzią wywieszającego się nade mną okapu. Jest ślisko i nieprzyjemnie, myślę nad kolejnymi ruchami. Próbuje się skupić, ale nie jest to łatwe, gdy znad okapu dolatują do mnie cały czas okrzyki rozbawionej pozostałej trójki: "... zaczyna padać ... dajesz po ekspresach. W głowie zaczęła kielkować myśl, że może faktycznie nie jest to taki głupi pomysł. Wątpliwości natury etycznej przysnęły jak bańka mydlana w momencie, gdy dzierżyłem w dłoni pierwszy z czterech kotyszających się w przewieszeniu ekspresów. Teraz już tylko ... dwa ... trzy cztery ... i po pięciu sekundach jestem przy stanowisku. Zadowolony i wpięty w stanowisko nie myślałem, że w dłuższej perspektywie posunięcie z zadawaniem po ekspresach będzie miało dla mnie zgubny skutek, gdyż jak nie trudno się domyślić pozostała trójka „darta ze mnie łacha” do końca wyjazdu. Jeszcze w kilka miesięcy od tego wydarzenia mogłem przy różnych okazjach usłyszeć zanoszącą się śmiechem Alicję wołającą „raz, dwa, trzy, cztery...”.

Kaśka, Dżosz i sesja zdjęciowa

Dwa dni przed wyjazdem pod ścianą Sierżanta natknąłem się na pierwszą damę kobiecego alpinizmu - Catherine Destivelle. Zamieniliśmy kilka słów, a Kaśka po opłastowaniu dłoni zwawo pomknęła do góry. Oglądanie jej w akcji na „offajowej” rysie było czystą przyjemnością. Po chwili to samo uczynił jej partner zostawiając mnie samego pod ścianą, gdzie czekałem cierpliwie na Dżosza i Chmiela. Chtopcy przybyli w momencie, gdy Francuzi kończyli drugi wyciąg i po krótkiej rozmowie Dżosz wbił się w pierwszy wyciąg tej samej drogi. Dość sprawnie doszedł do kluczowego miejsca, gdzie wyraźnie go przytkato. Razem z Chmielem ochoczo go dopingowaliśmy do wyteżenia but. Wszystko na nic. Stał już tak z pięć minut, gdy obok niego przemknęła w dół lina. Hmmm ... zjeżdżając Franole. Oboje minęli rozciągniętego na ścianie niczym pajak Dżosza, bojąc się jednak zrzucenia go liną, zostawili ją nieco z boku. 25. minuta, Dżosz stoi, jak stał. Po kilku przymiarkach, kiedy już wydawało się, że przewieszona bambulka będzie jego, mozolnie wracał w dół, do klamek. 35. minuta, Franole zaczynają się

niecierpliwie. Nic nie pomagają podejmowane przez Chmiela próby zajęcia ich czymś (w tym interesujący wywód o wyższości A/Zero nad Desnivelem). Partner Kaśki z nudów chyba, a może żeby zdopingować do działania naszego kolegę, począł pokrzykiwać po francusku: *allez allez i robić Dżoszowi zdjęcia, jedno, drugie ... dużo tego było. 45. minuta. Nagle Dżosz ruszył i ku naszemu zdziwieniu przeszedł „na świeżaka” kluczowe miejsce. Franole odetchnęły, my zaś niesieni falami euforii urządziliśmy Dżoszowi owację. W ten oto sposób Dżosz nieswiadomie przeszedł do historii. Może i Kaśka jest pierwszą damą kobiecego alpinizmu, za to Dżosz dzierży prymat w kategorii "najdłuższe niewymuszone przebywanie w trudnościach drogi".*



Raz, dwa, trzy, cztery ...

fol. Mariusz Wilanowski

Wilan i Chmiel w trakcie przekonywania Catherine o dominacji A/Zero na rynku prasy wspinaczkowej
fol. arch. Mariusz Wilanowski



My są już Amerykany

tekst i zdjęcia z arch.: Maciek Kubera

Nie będzie to opowieść o mrozących krew w żyłach przechwytach, strasznych krawądkach i heroicznie ludzi gór. Będzie to opowieść o ludziach takich samych jak my wszyscy, a może trochę innych?

Noc, pociąg relacji Emeryville - Merced, gdzie mamy wysiąść. Czeka tam Jędrzek, który specjalnie przyjechał po nas z Doliny. Jechał na próżno (sorry Andrzej!), bo budzimy się dopiero w Madera - to jedna stacja dalej. O tej porze nie ma już pociągów w drugą stronę. Miejscowi radzą, aby przespać się we Fresno i wrócić rano. Pótnoc. Łądujemy na małej stacyjce. Jacyś Murzyni grzebią kijami w śmietniku, a zawiadowca już zamyka poczekalnię dworcową. Na szczęście konduktor prosi go, aby przechował nam świnię do jutra. Bezpłatnie. Po chwili krążymy po obskurnym miasteczku w poszukiwaniu taniego motelu. Znajdujemy jakiś niedrogi. Wygląda jak ten z filmu „Od zmierzchu do świtu”. W środku atmosfera była taka jakby za chwilę mieli tu wpaść agenci FBI. Oglądamy max meliniarski pokój. Ale chlewi! „Maciek, uciekamy stąd, bo w nocy podrzucą nam narkotyki” - mówi Paweł. Dajemy dzidę. Następny, prowadzony przez Hindusa, jest O.K. - tzn. że w nocy raczej nie oblezie nas robactwo. W Polsce dzień. Długo rozmawiam z Bartkiem, opowiadam o naszej przygodzie, o przespaniu stacji i błąkaniu się po mieście. Sprawdza w atlasie gdzie jesteśmy i podaje dokładne instrukcje, co powinniśmy zrobić, żeby trafić z powrotem do Merced. Wstajemy wcześniej i o szóstej jesteśmy na dworcu. Okazuje się, że nie musimy kupować biletu do Merced. Pani zawiadowca tłumaczy konduktorowi, że przespaliśmy stację i po chwili siedzimy w pociągu. Potem tylko jazda YARTSem - kierowca podrzuca nas pod sam Camp 4, żebyśmy nie musieli dźwigać świni. Spotykamy Jacę, Andrzeja i resztę załogi. Mamy już wykupiony placyk. Przekazujemy uroczyście dwa wagony fajek i hyc do sklepu. Zасыpiamy w autobusie, który wozi nas przez godzinę po Dolinie. Potem spożywczak, kolekcjonowanie plastikowych butelek w recydingu, mountain shop, pakowanie szejku. Jutro wychodzimy. Nie ma czasu. Nazajutrz Wawa podrzuca nas na Meadow. Dwadzieścia minut podejścia i zaczynamy.

Pierwsze niepewne ruchy. Wyciąg A2, dwa wahadła po 5 m, hooki i po headach do stanu. Drugi też łatwy. Wciąż szczyty - zostawiamy szejpe i zjeżdżamy.

Jak hartowała się stal

Andrzej z Jacą wychodzą na jednodniowe przejście Nosa.

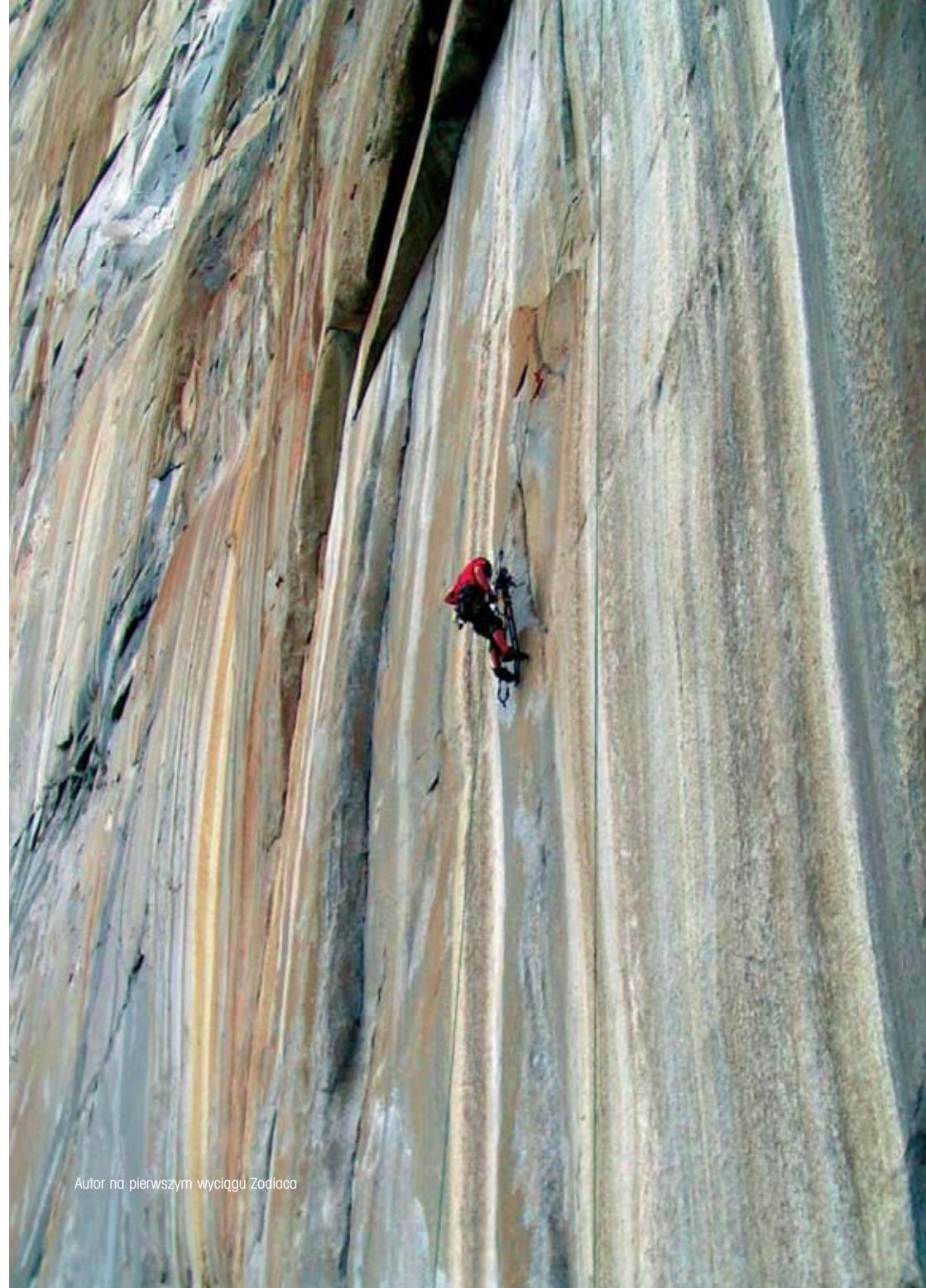


Autor, Paweł i Dave - solista z Relicent, na Camp 4

Fajny masz polarek, Andrzej - mówię (Tadziowy zresztą), aaa... wziąłem, bo może trzeba będzie przetrzepać noc na półce...

Trochę poręczujemy na New Dawn. Często zamyślam się w czasie wspinania. Patrzę wtedy na High Country i myślę i wiszę, i milczę. Myślę o tym, co ważne i co najważniejsze, myślę też o Sensie. Potem otrząsam się - Jery! Pół godziny pękło, a tu trzeba w górę! Spotykamy Dave'a, który ma się wbić po nas solo i Nick'a z Brazylii - solo na Mescalito, ale też czeka w kolejce. Biwakują pod ścianą, wsłuchując się w łopot nepalskich chorągiewek modlitewnych rozwieszonych obok. Jest klimat.

Leniwe pełznięcie w górę, bezstroskie godziny w ciepłym słońcu. Haczenie jest dla tych, którym się nie spieszy. Wiszę sobie spokojnie na headach, kiedy nagle krzyk. Spojrzenie w dół. Zawrząto. Ruch. Panika. Małe ludziki wykonują ruchy Brona, albo Taniec św. Wita. Tymczasem coś leci. Nie przylegam płasko do skały, całe życie nie przelatuje mi przed oczami jak film, nie modłę się, nie przeklinam, nie myślę o Bogu, nie myślę o niczym, nie ruszam się, nie oddycham, nie - jestem, nie ma mnie. Uderzenie. Cisza... Fuuuuck!!! Spokojnie - wszyscy żyją - to tylko tuba z górnymi spada chłopakom z Mescalito i rozbiła się pod ścianą, gdzie biwakowała ekipa. Skład z Mescalito zjeżdża i rezygnuje. My zjeżdżamy wieczorem. Nick nabija fajkę. Nad nami Galaktyka. Nick, znasz Lucillę Santos? Jasne, że tak! A oglądałeś „Marię z Przedmieścia” albo „Isaurę”? Oglądał, ale tylko do 350 odcinka. Toczy się rozmowa o brazylijskich serialach. Dyskusja czy Jose Alfredo miał rację porzucając Marię Dolores i odchodząc z Gabriellą - tą złą. Co robi Ladeira w następnym odcinku, czy Wirginia jest na górze, czy na dole? Mijają godziny, salga la Luna.



Autor na pierwszym wyciągu Zodiaca



Start w kolejny wyciąg na Zodiaku

Hej, Paweł, podnosimy się, bo trzeba iść. Adeus Nick, strzałka Dave. Po chwili gubimy się w lesie. Wokół nas drzewa jakby z Lasu Fangorn, łapią się za konary jak za ręce i nie pozwalają przejść. No pasaran. Przysięgam, że widziałem Enta. Trafiam na jakiś kamienny krąg - minikopia tego ze Stonehenge. Wiem, że gdy tam wejść, wyzwolę jakiegoś Demona i nie wiem co będzie, ale to jedyna droga. Wkraczam w ten krąg ofiarny, poświęca wokół i mgielka, zupełnie jak w „Koszmarze minionego lata” i... nic. Jestem jednak troszkę zawiedziony, bo okazało się, że to tylko zwykły teleporter - przenosi mnie na drogę przy El Cap Meadow. Krzyczę. Paweł też tam jest. Schodziliśmy trzy godziny spod New Dawna - normalnie to 20-30 minut. Teraz dłuuuga wstęga asfaltu. Idąc zasypiam, a Paweł raz po raz ratuje mi życie, spychając mnie z drogi, kiedy nadjeżdża samochód. Po mili, może dwóch, postanawiamy odpocząć. Kładziemy się na poboczu, obserwujemy gwiazdy i zasypiamy na amen. Ludzie tutaj - w Stanach - bardzo przychylnie nastawieni są do Polaków. Myślę, że zmieniło się to po historii z Irakiem. Gdy dowiadują się, że jesteśmy z Polski - witają nas wylewnie, rozmawiają, wypytują. Są bardzo, ale to bardzo życzliwi, ci koledzy Amerykanie. Maciek z Jackiem poręczają scrutinisera, Wawa wspina się, pracuje u Chongo i choć wraca wykorbiony z roboty, gotuje, żeby chłopcy mieli co jeść po powrocie. Tom Fotograf częstuje cygarami „El Chipo”, po 50 centów, robionymi maszynowo, „nigdy nie dotkniętymi przez

ludzkie ręce”. Jaca częstuje bardzo dobrym winem, Henry, jak zwykle, przysiadł się na sępa i wypytuje, komentuje, plotkuje. Henry obserwuje i obgaduje. Co chwilę słyszeć jego bawarski angielski akcent i mechaniczny śmiech Lorda Vadera. Ale w sumie jest w porzo. Tadzik wciąż fotografuje, a Tom uczy nas angielskiego dla zaawansowanych. Poznajemy wiele użytecznych zwrotów, jak np.: „chill out stupid motherfucker”, „we are in the shit”, „no beer, we are totally fucked”, „smooth dude”, czy „fucking A”. I wiele innych...

Wawa tak naprawdę jest świetnym kucharzem. Jego sałatka z avocado i pasty z oliwek plus nacios doprawiona cibrą jest naprawdę sweet. Duże zdolności kulinarne ujawnił też Pablo. Specjalność zakładu, to warzywno - parówkowy zaczyn do makaronu. Składu nie podaje, bo to tajemnica. W ogóle to jemy jak biali ludzie na jednorazowych talerzach. Mamy też płyn do mycia naczyń. Nienawidzę A2-kowych przewieszonych zaciątek. Wciągną ci każdą cząstkę sprzętu, jaką posiadasz. No fun. Wolę A3-kowe płyty z komfortowymi headami. W ścianie żabki kumkają, jaskółki straszą, a kruki (duchy Nszo-czi i Boją Się Nawet Jego Konii) gdzieś odleciały. Organizacja kościelna zmontowała piknik na campie. Dają spaghetti i można wygrać sprzęt w konkursie na najlepszą odpowiedź na pytanie: „czy myślisz o Jezusie, kiedy się wspinasz?” Nic nie wygrałem. Sprzedają tam Jezusa - mówi Henry, to jest business, a oni są sektą handlową.



Poranna kawa na półce biwakowej przed ostatnim wyciągiem Zodiaka...

Oczekując na ostatni autobus z Curry Village na Camp, spotykamy Joe Astronoma. Jest z SF. Siedząc z papierowymi torbami spostrzegam, że zaciąga wokół Pawła pajęczą sieć rozmowy. Paweł nieświadomy zagrożenia daje się osaczyć i po chwili tkwi po uszy w mackach zwierzeń z Wielkiego Miasta, gdzie wszyscy są max wyalienowani. Potem koleina sztuczka zręcznego pajaka - okazuje się, że jest hobbystą astronomem. To jest Jupiter, a to Mars - mówi Joe Astronom. Mam w domu lunetę. Wymieniamy z Pawłem spojrzenia. Obejrzało się już kilka filmów policyjnych o facetach, którzy trzymali lunety w domach... Zmywamy się!

Puszczamy Dave'a przed siebie i zjeżdżamy z Reticenta. Przenosimy się na Zodiak. Przed wyjściem na patelnię pakujemy świnię w zagajniczku. Szczerze, to obawiamy się trochę grzechotników. „W międzyczasie” bracia Huberowie przebiegają ścianę śrubując swój rekord.

Przychodzą i pytają: skąd jestem? Jak się nazywam? W jakim języku mówię? Co dziś robiłem? Gdzie się wspiąłem? Gdzie będę się wspiął jutro? Co robi Wawa? Gdzie jest Jaczek i Maczek? Co mam w portfelu? Ile mam? Jakie mam karty kredytowe? Jaki mam szpej? Z początku odpowiadam grzecznie, ale w końcu - zwłaszcza, gdy śledczym jest Henry, zaczynam stosować „technikę pękniętej płyty”, niezmiennie odpowiadając „nie wiem”.

Nazajutrz poręczowanie pierwszych dwóch wyciągów w prześlicznym żółtym granicie. Ściana jest lekko przewieszona. Mijam pierwszy stan i łoję do drugiego. Półka. A na niej hybrydowy alien. Jak się potem okazuje - zgubiony przez Maćka i Tadzika. Widać ich jeszcze na górze. Wciągam świnię, Paweł czyści. Solo wbijam się w następny wyciąg. Upały są upiorne. Najlepiej jest do 10-tej rano i po 17-tej. A jeszcze lepiej w nocy o dwudziestej drugiej, jak kończymy.

Poranne telefony do domu i hektolitry kawy w kafeterii. Znalazłem zestaw darmowych talonów, a dolewki są for free. Roy Robins robi w Yosemite Lodge pokaz slajdów z dawnych lat - historyczna część ciekawa, instruktażowa (co to jest kostka, friend, hak) mniej ciekawa. Tom robi pokaz slajdów na ścianie kibla na campie - część historyczna (długowłosi kolesie w dzwonach biją pianę na parkingu przy ogromnych samochodach, jakich nie powstydziliby się Kojak) - baaaardzo ciekawa. Część współczesna - jeszcze ciekawsza. Są tu foty Jacy i Andrzeja na Nosie. Polish climbers - mówi Tom - jednodniowe przejście. Jesteśmy dumni, bo my też z Polski (choć już prawie Amerykany), a to przecież nasi. Przez chwilę martwe pierwszomajowe teksty o reprezentowaniu kraju ożywają i stają się Prawdą. Polish climbers are... Tom zawiesza głowę patrząc w naszą stronę - fucking „A” - odpowiadamy chórem. Zna się te grypsy.

... zakłócona przez bijącego rekord szybkości na Zodiaku Alexa Hubera





Tadek Grzegorzewski na pierwszych merach Zodiaca

później nie możesz uwierzyć, jak do diabła mogłeś się bez nich w ogóle obyć? Drugiego dnia doganiają nas: Rob z Andrew - idą klasycznie poćwiczyć na Grey Circle, oraz Huberowie. Bracia za cały szpej mają z 5 ekspresów, 3-4 camaloty, parę kostek, małą i ławkę. Tym razem wykręcają około 2,50 godziny. Puszczam chłopaków przodem - my mamy duuuużo czasu. Czy to nie piękne - zagaja Andrew. Sześciu ludzi na ścianie, cztery liny i pomagamy sobie nawzajem. Sweet Dude. Rob wyciąga fajkę nabitą substancją odurzającą znaną w krajach arabskich jako Hasz'isz. Zapalasz? Nie Dude, mam jeszcze wyciąg i dwie świnię do wciągnięcia, śmieje się. Po chwili chłopcy są jeszcze bardziej wyluzowani. Śmichy-chichy i rozpoczynają zjazdy. Ciągnę dalej i śpimy w samym środku Grey Circle. Miejsce jest prawdziwie magiczne. Ta El Capowa cisza, która jest muzyką. Nikogo nad nami, nikogo pod nami, dookoła morze granitu. Teraz zmienił kolor z żółci i odcieni pomarańczy na różnorakie szarości. Spokój jak w Mnichowym Żlebie. W Tatrach bym się powspinał - rzucam i patrzę w kierunku „The nipple”. To będzie kultowy wyciąg.

**O takim dniu jak dzisiaj
Można powiedzieć:
Również przemienie**

Paweł mota świnię gdzieś w górę, ja na dole pakuję szpej. Cisza, więc śpiewam „Pieśń wielorybników” i „Stary port”. Patrzę na Nos. Nie wiem, które świetliki są gwiazdami, a które świetłkami zipek. Przez to wrażenie El Cap zyskuje głębię i wygląda, jakby żeglował wśród galaktyk. Dziś przyjechali radzieccy alpinści. Sjewodnia dzień rażdzienia Tigra. Chłopcy zastawiają stół, zapraszają, są ogóreczki, ser, browar, jest i gitara. Płyną pieśni Awdiejewa, Bułata Okudżawy i Aleksandra Zumczica, katoryj - jak się okazało - żywiot niedaleko. Lecą też takie hity jak: „Miszka Fiszman”, „Mama ja żulika ljublju”, „Podmoskowskije wieciera”, „Meliniarz Kolka” czy „Rodzina z prowincji fotografuje się przed pomnikiem Puszkina”. Słowiańska dusza, ot co. Trzeba spać, bo jutro wbijamy się.

**Pożyczcie sobie promyk księżycy
Na tę podróż
Tysiącą mil**

Dzisiaj słynna „Black tower” i spotkanie z cam-hookami. Kiedy używasz ich pierwszy raz, psycha siada ci do zera, ale

Zaiste, mikroskopijna jest faktura skały - jak bracia to wkosili klasycznie? Asekuracja ze starego „junku” typu pordzewiałe bird beaki i heady. The nipple był rzeczywiście piękny i ... kształtny. Wchodząc na niego czuję się jak liliput. Albo jak Guliwer w krainie gigantów. Na następnym stanie wisi szpej pozostawiony przez Heinza Zaka - fotografa braci. „Mark of Zorro” robię już w nocy.

Wczesne przebudzenie w podmuchach wiatru. Wyglądam z portala - nie jest dobrze, pada śnieg. Paweł spi. Wciągam do portala buty, żarcie na cały dzień i wzmacniam fly'a rurką od stelaża. Jemy śniadanie i czekamy. Załamanie pogody może potrwać od jednego do dwóch dni. Na szczęście, jak zwykle wziąłem trochę więcej wody i jedzenia. Koniec opadu i żółtko słońca, chciałoby się powiedzieć, w majonezie śniegu. Rozgrzany płynny żużel do 17-stej. Potem jelenie zaczynają lizać po plecach. Wuj Chłodek. Wyciąg z back cleanigiem. „Perfect smooth crack”. Dwadzieścia metrów rysy na cama nr 2. Ale mam tylko jeden taki egzemplarz. Rzeźbię coś z offsetem Wild Country - czasem siada.

Przekładam te dwa camy i prę do stanu. Niedostatek sprzętu powoduje, że odbieram ten łatwy wyciąg jako hmmm... mało komfortowy. Dochodzę do Peanut Ledge. Wygodna póża, ale jest na winkl i maks wieje. Chcę dziś dojść do wygodnej półki tuż przed końcowym wyciągiem. Podobno jest sweet. Startuję w 4 calową rysę za odstrzelonym waflem. W tym momencie Pawłowi zacinają się świnię jakieś 15 m pod stanem. Paweł ogarnia coraz więcej sztuczek technicznych. Zjeżdża do świni i na 15 metrowym aucie pompuje je na stanowisko flaszcugiem z przełożeniem 3:1. No, no! A u mnie w rysie siadają camy nr 4 - jeden nowy, a drugi znaleziony pod ścianą („prawie całkiem dobry”). Trawers na talonach po wierconych dziurkach, okap i półka.

Dochodzi Paweł, jest noc gwiazdzista. Zostańmy tu - proponuję. Idę dalej - odpowiadam.

Odochodzę w bezchmurne

Niebo i zimny księżyc

Moje serce wciąż czyste

Biorę szpej, trawers w lewo, rysa na alienach i mikro-offsetach HB w górę, trawers w lewo na fish hookach, back cleaning (dobrze, że jest ciemno, nie widać płyt na dole) i czujne przekradanie się po półce. Opuszczam Pawłowi fish hooki, wciągam świnię i zakładam biwak. Zасыpiam. Dochodzi Paweł. Herbatka i kładziemy się spać o piątę rano. Jutro skończymy, pojutrze zjeździemy, a w

niedzielę do kościoła. Upał budzi nas o dziewiątej. Wolno zwijamy biwak, jemy, fotografujemy, peten luz i jeden wyciąg do końca. Szmaragdowa wstążka rzeki chłodzi nas wizualnie. Z dołu znowu biegną Alex i Thomas. Wyśrubują dzisiaj 2,20. Wychodzę z drogi, oni mijają Pawła. Robię fotki z góry. Heinz Zak angażuje mnie do sesji zdjęciowej: wyjście z drogi. Alex podaje dłoń Thomasowi, a ja się gapię. Jest już Paweł i rozpoczyna wciąganie świni. Ja kładę się na głazie i zasypiam. Budzę się po pół godzinie, patrzę na Half Doma i jestem w innym wymiarze. Jakbym znalazł się na obcej planecie i myślę, że chyba po to się tu wspinały - żeby spędzić te parę godzin na pikniku El Capa, to jedno popołudnie i jedną noc przy ognisku po ciężkiej harówce, gorszej niż w kopalnianej przetłówni węgla. Przytąszczone przez nas bele drewna płoną całą noc. Ściągną mojego przedramienia też płoną - polewam je wodą i pochłaniam cały wyprawowy zapas tabletek przeciwbólowych. Koszmar następnego dnia. Kto schodził z El Capa ze świnią, ten wie, o czym mówię. Przeklinanie i kopanie 50-cio kilogramowych worów przynosi tylko chwilową ulgę. Na dole - na parkingu, spotykam Kevina z Kolorado. Robił „Space” i odpadł w czasie back-cleaningu ostatniego wyciągu. Dał maszywnie organizmem w półę i w rezultacie polatał sobie helikopterem. Ma złamaną nogę (teraz w gipsie). Podwozi nas swoim monstrualnym chevroletem na Camp 4. W aucie słuchamy „Yonder Mountain”. Kevin wyciąga faję z jaspisu. Palicie?

Widok ze ściany na rzekę Merced





Widok na filar i chyba najpancerniejszą część ściany El Capa gdzie przewija się Nos, Central Scrutiner, Tribal Rite, Reficent Wall, New Dawn, Mescalito itd.

W niedzielę uderzamy na sumę. Tym razem na katolicką. Chociaż poprzednia protestancka też była sweet. Dziś na camp przyjechał Polak z Kalifornii. Próbował nas epatować swoim Fordem fiestą. Rozpoczęły się znajome indagacje: czy pijecie wódkę? A piwo? Ile pijecie? Ile macie kasy? Co robicie? Nawet Henry się wkurwił i powiada: stary, nie masz co robić, tylko siedzieć na campie i zawracać gitarę? On na to, że nie i czy Henry ma coś przeciwko. Henry mu na to, że go wkurwia i gość się odczepił. Myślę, że był agentem. Znany jest fakt, że Wawa przywiózł herbatę mate z Argentyny. Panowie na granicy myśleli, iż ziółka te mają nieco inne zastosowanie. Ale w końcu okazało się, że się owe ziółka się pije, a nie pali i dali mu spokój. Wysnuliśmy teorię spisku, że dla pewnych instytucji podejrzany jest ziół Polaków z różnych stron świata w tym samym miejscu: jeden z Tajlandii - okolice złotego trójkąta (Tadzio), Maciek i Wawa z Ameryki Płd. (ten numer z mate na lotnisku) Można by pomyśleć, że montujemy szlak przerzutowy, więc przystali nam agenta - niby ziomała. Poniedziałek - znajome podejście pod El Capa. Idziemy z Tadzikiem na East Buttress. Nogi mam tak skasowane, że jestem w stanie wytrzymać w buciach max piętnaście minut. Mamy tylko jedną linę - zjazdów nie przewidujemy.

Można powiedzieć, że schematu w zasadzie nie mamy i drogę wybieramy intuicyjnie, co staje się regułą wspinania z Tadzikiem: Robimy zdjęcia, delektując się widokami strzelistych wież Cathedrali i kłębiącymi się nad Half Dome chmurami, które nigdy nie chcą pojawić się w tej części doliny. Coraz bardziej podoba mi się ta klasyka. Wieczorem idziemy z Willem na slack lining. Will demonstruje nam swe umiejętności. Wszystko jest w głowie - mówi. Pierwszy ruch jest jak yoga. Próbuje tej yogi na linie i po chwili zderzam się z glebą. Muszę jeszcze popracować nad oddechem, wewnętrznym chi i asaną „powitanie słońca” - wtedy mi się uda.

Henry nudzi się. Chce coś zrobić i wpada na pomysł zjazdu Nosem. Tom poleca mu jakiegoś gościa na partnera. „Nic Henry’emu nie mówcie, ale ten koleś jest gejem”.

Przyjdę jutro strzelić ci fotkę, Henry. Beng - udaje, że strzela z pistoletu. Henry siedzi z niewyraźną miną. Henry, jakby coś, to ustalmy, że ja wezmę twój portal - ciągnie niezmordowanie Tom - Paweł zestaw alienów. A ja kurtkę puchową - dorzucam. Tylko nie bierz jej ze sobą na zjazd, żeby się krwią nie zachlapała, bo nie doczyszczę. Henry nie łąpie śmiesznośtek, ma kwaśną minę i podpira się łokciami o zatłuszczony blat stołu, brudząc prawie już moją kurtkę. Henry, proszę nie paprz mi kurtki! Tutaj Henry pęka, rzuca: dobranoc, „very funny” i idzie spać. Wszak jutro ma przeżyć przygodę, której może nie przeżyć. Nazajutrz

oglądamy z El Cap Meadow rekordowy bieg Huberów. Imponujące. Są piekielnie szybcy. My z Tadzikiem i Pawłem ruszamy robić zdjęcia na Zodiaku, a nazajutrz idziemy na „Rogal Arches”. Zawiało klasyką - schemat wciąło, repa do zjazdu nie mamy, więc oberamy: „azymut huta szkła”, jak mawiał Tytus. Wyprzedzamy kilka zespołów, czujnie przechodzimy końcowe, tarczowe run-outowe płyty i meldujemy się na pik. Okazuje się, że najtrudniejsze i najbardziej uciążliwe będzie, jak zwykle, zejście. Klucząc i lawirując wychodzimy na szczyt Washington Column. Widok na Half Dome jest idealny. Cała ściana przed nami. Tadzik fotografuje, ja zerkam na zegarek. Nie jestem pewien co do dalszej drogi, ścieżka zanika i powoli robi się późno. W końcu znajduję jakieś ślady. Radośnie wołam Tadzika. Przygląda się i powiada: „ty, to są ślady niedźwiedzi”. To lakoniczne stwierdzenie daje nam niezłego speeda. Praktycznie zbiegamy ruchomym piargo-osuwiskiem. Bieg trwa długo, lecz kiedy wyraźnie czujemy końskie odchody, wiemy, że jesteśmy na dole. Mając jeszcze kilka dni restowych, podczas których uprawiamy tzw. hiking, postanawiamy przeprowadzić rozpoznanie na „Wyoming Ship Ranch”. Bierzymy wodę, żarcie, browar i sprzęt biwakowy. Będziemy spać pod ścianą. Noc gwiaździsta.



Słyszemy Maćka i Jacka na Scrutinajzerze. Śpiewamy szanty, gasząc pragnienie King Cobrą i obserwujemy ćwiczenia ekipy speleo. Ci dzielni ludzie z Kolorado trenują przed wyjazdem do jakiejś mega-studni w Meksyku. Małpują na pik El Capa i zjeżdżają z niego używając dwustopowych rack'ów. Jeden z nich wymiata na flecie szanty i kawałki Led Zeppelin. I to podczas małpowania. Nazajutrz zwożą Dave'owi wory. Nie udało mu się na Reticent. Stwierdził, że wyciąg nad Wino Tower był zbyt niebezpieczny i poszedł dalej „Dawnem”. Pierwszy wyciąg A3 na WSR jest kruchy. Dochodzę do miejsca, z którego spadł Past On Pitons Pete. Połamał nogi na półce parę metrów niżej. O jakości lotu świadczy ciąg dead-headów, tzn. w wyłobieniu zostały same główki, a druty są pozrywane. Dalsza droga w górę wymagałaby czasochłonnego wydłutowania headów, oczyszczenia miejsc, osadzenia nowych. Nie mamy na to czasu, w dodatku słońce zaczyna zalewać nas żarem. Szacmam ostrożnie w dół. Tam pakujemy się i po chwili robimy zdjęcia na słynnej poręczówce w „Alkowie”. Pojutrze wyjeżdżamy.

**Dzisiaj ostatni raz
Spojrzałem
Na Górę Fudži**

Ciekawym akcentem w Ameryce było zwiedzanie SF (piękny japoński ogród w stylu herbacianym)

z niesamowicie ukształtowanymi bonsai i mnóstwem kamiennych lamp. Widziałem interesującą ceremonię zaślubin. Młoda para stała na kamiennej ścieżce ułożonej w stylu „odlatujących gęsi” przed trójelementową kompozycją kamienną. Pan młody wysypywał wybrance ryż za dekolt sukni ślubnej - ciekawy zwyczaj.

Dawn Town i Embarcadero. Fishermens Wharf i lwy morskie. Ludzie ćwiczący masowo Tai-Chi w greckowłoskiej dzielnicy. Tramwaj jak na filmie „Starsky and Hutch”, no i China Town - niestety mit o chińskiej dzielnicy został obalony. To nie jest magiczna część miasta, gdzie starzy Chińczycy z długimi, białymi brodami prowadzą swe małe sklepiki, w których możesz kupić talizmany i Ching, sproszkowany róg nosorożca itd. Dzielnica przypomina raczej ministadion - tak, tak, chodzi mi o Ten Stadion, gdzie kupisz wszystko, każde bładzie. Ostatnie chwile w Stanach. Noc na lotnisku w towarzystwie miejscowych żuli, którzy spali tam ze swoimi siatkami. Gdybym tak jeszcze miał kartonową karimatę, to byłoby jak na Centralnym, pomyślałem.

Pragnę złożyć podziękowania: Rodzinie za cierpliwość, Matce PeZeCie za wsparcie finansowe, Pawłowi - stary bez Ciebie nie byłoby Tego Wszystkiego, Jacy, Andrzejowi i Jackowi, Maćkowi, Wawie za obecność i pomoc, (Jezu, zapomniałem zrzucić się na wachę, ale się zrewanżuję), Tadzikiowi - za Dobrego Ducha i masę pozytywnych wibracji.



tekst: Paweł Karczmarczyk

KAUKAZ

po raz ...

Autor na zdjęciu

Podróż na Kaukaz to już dobrze znany scenariusz i kojarzy mi się z odprowadzaniem rytuału. Już w pociągu klasycznie niszczy się trochę ruską wódką, by zapomnieć o wszystkich nieistotnych sprawach, które do niedawna zaprzętały nam głowę. Taka mała inicjacja w przejściu do innej rzeczywistości.

Od początku wyjazdu towarzyszy nam jedna gra w karty - makao, bez której dzień można uznać za stracony. Chrzczymy się mianem Makao team:

Paweł Karczmarczyk (Kaczmar)

Tomek Tokarz

Kuba Fedorowicz (Pudzian)

Jaś Mierzejewski

W tym składzie przyjeżdżamy w dolinę Adyt-su. Instalujemy się w alpagarię Szhelda. Dużą rolę przy wyborze bazy odegrało chyba przyzwyczajenie, bo standard niezmiennie od kilku lat utrzymuje się tu na niskim poziomie. Dla aklimatyzacji wchodzimy na przełęcz Kaszkatasz 3710 m. Potem wybieramy się na „zieloną polanę” u wylotu lodowców Dżan-kuat i Baszkara. Chcemy zrobić się na dżantugańskim plato (3500 m) i tam zrobić dwie drogi:

Dżantugan 3991 m, wsch. granią 2A

Baszkarę 4241 m, płn.- wsch. granią 3B

Droga na Dżantugan, pomimo rozkiesłego śniegu na zejściu w drugiej połowie dnia, jest przyjemnym spacerem. Natomiast Baszkara pochłania większość psychy, którą mamy przygotowaną na ten sezon. Początkowo wspinamy się firmowym skłonem wzdłuż rynien, które bardziej przypominają tory bobslejowe na sanki rozmiarów lokomotywy. Całe szczęście, że słońce jeszcze nie wstało, bo pewnie nie chcielibyśmy wiedzieć, co jest przyczyną ich powstawania.

Następne wyciągi to monolityczne skały za IV+ (żeby nie powiedzieć: V), po których sodoma trzymająca do

samego wierzchołka. Wyjeżdżające deski, kruszyzna, zrzucanie kamieni, słaba asekuracja... wierzchołek. Uff, choć przecież to jeszcze nie koniec. Zejście - to zjazd tą samą linią. Zaczynam z Tomkiem. Po trzecim zjeździe słyszymy krzyki w drugim zespole. Okazuje się, że na kłób liny spadł sporych rozmiarów kamień, zmieniając dwie 50 w sześć 15. Zaaajębiście!

Dalej suniemy we czwórkę na naszej linie.

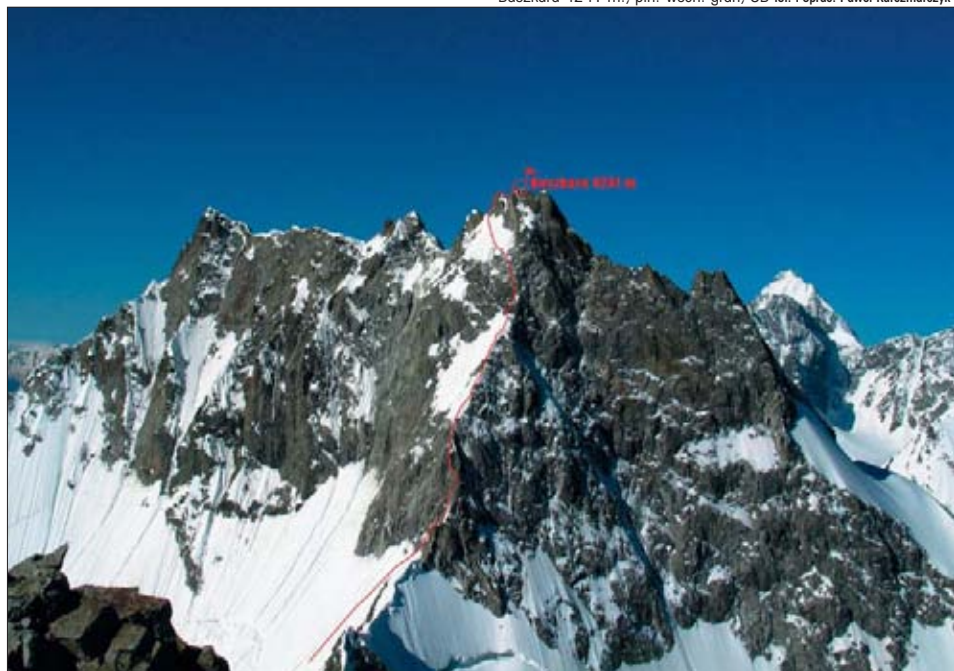
Nasz ruch w dół został jednostajnie opóźniony. Wszystko rozgrywa się jak na filmie puszczonej od tyłu. Dobrze po zmroku łądujemy na plato.

Choć każdy z nas doskonale wie, że wiązanie się na lodowcu powinno być odruchem bezwarunkowym, takim jak oddychanie, postanawiamy działać zupełnie inaczej. I chyba nie chce mi się tego usprawiedliwiać w żaden sposób. Człapiemy do namiotu szczęśliwi, że to koniec tej drogi, przekonani, że już nic nie jest w stanie nam zagrozić. Pudzian dostaje takiej gadany, że czujemy się jak na antenie audycji radiowej. Miał sen o Duchu Gór, który przybył po to, by ostrzec nas o niebezpieczeństwie. Nie chciał wcześniej nam o tym mówić, żeby nie zapeszać. Podchodzimy pod namioty. Mylimy z Tomkiem ślady, o czym zresztą od razu informuje nas Kuba i skręcamy w kierunku przełęczy. Tym manewrem zyskuje on nad nami 10 m i jako pierwszy przechodzi mostek nad szczeliną, po którym już wielokrotnie chodziliśmy związani liną. Niestety, nie był on obliczony na kolejne przejście. Pudzian znika w ułamku sekundy - radio wyłącza się jak w czasie nagłej przerwy w dostawie prądu. Teraz dopiero dociera do nas cisza, jaką można usłyszeć tylko w górach. Przez chwilę nie potrafimy nic powiedzieć. Potem wykonujemy szereg spontanicznych czynności, które donikąd nie prowadzą. Z głębi ciszy i szczeliny dociera do nas nierzeczywiste wołanie Kuby o pomoc.



Dzantugan 3991 m., wsch. grań, 2A fot. i oprac. Paweł Karczmarczyk

Baszarka 4241 m., płn.-wsch. grań, 3B fot. i oprac. Paweł Karczmarczyk





Kaczmar na Baszkarze fot. TomaszTokarz

Musi być bardzo głęboko, ale żyje! Pytanie tylko: jak długo wytrzyma. Śnieg jest zbyt miękki, by zrobić stanowisko do zjazdu, nie mówiąc już o jakimś systemie do wyciągania. Na prowizorycznym stanie opuszczamy linę z karabinkiem i światłem. Ale nie przynosi to żadnych rezultatów. Czujemy się bezradni w tym składzie i w tej sytuacji. Telefony, pomimo dobrego zasięgu, też nie chcą z nami współpracować. Jediną szansę widzimy w zejściu po pomoc na dół. Czekamy dwie godziny do świtu, który przychodzi na plato wraz z gęstymi chmurami. Odczekujemy jeszcze godzinę i już przy lepszej widoczności ruszam z Jaśkiem w dół. Tomek zostaje na miejscu. Po pół godzinie marszu spotykamy na lodowcu dwójkę Rosjan. Korzystamy z ich telefonu i powiadamiamy ratowników o zejściu. Koleś i panna nie mogli nam więcej pomóc, więc ruszyliśmy dalej. Pół godziny później spotykamy 9-cio osobową grupę miejscowych alpinistów z Nalczika. Bez zastanowienia natychmiast deklarują nam pomoc w wyciągnięciu Kuby. Po 12 godzinnym pobycie w szczelinie żywy Pudziań wychodzi znów na światło dzienne. Ma tylko złamaną nogę. Nie wiem, ile osób może przeżyć 50-cio metrowy lot w szczelinie i spędzić tam tyle czasu, ale wiem, że z cudem graniczy to, że znowu się widzimy. Kuba relacjonuje nam swoje przeżycia z pobytu w „zaświatach”. Wielokrotnie tracił przytomność, miał halucynacje. Analizując już na spokojnie całą sytuację, uświadamiamy sobie, ile zbiegów okoliczności pomogło w jej szczęśliwym zakończeniu, ile mieliśmy farta.

Akcja ściągania Kuby z Dżanlugańskiego plato fot. Paweł Karczmarczyk





Biwak pod Szheldą III Zach. 4229 m. fot. Paweł Karczmarczyk

Następnego dnia wraz z ratownikami podejmujemy akcję sprowadzenia Kuby na dół. Opuszczamy na linie na miękkich noszach, dociera do końca lodowca. Dalej transportowany przez siły specnazu dostaje się do auta, które zabiera go do szpitala w Tymbarku. Niezbyt komfortowe warunki w „balnicy” sprawiają, że już po czterech dniach Kuba wraca do bazy z nogą w gipsie. Nie możemy nacieszyć się jego widokiem. Bardzo to wszystko przeżyliśmy.

W „międzyczasie” naszą ekipę zasilą Adam Banaś (KW Gdańsk) i po paru dniach psychicznego restu, ruszamy w góry w nieco zmienionym składzie. Wychodzimy w otoczenie lodowca szczytowego z zamiarem zrobienia dwóch dróg. Ja z Tomkiem instaluję się pod trzecim, zachodnim wierzchołkiem Szheldy z planem wejścia na niego drogą przez „rybkę” 5B. Jaś z Adamem podchodzą na „niemiecki biwak” z zamiarem wejścia klasycznym na płn. wierzchołek Uszby 48. Brak pogody towarzyszy nam już na samym podejściu i utrzymuje się jeszcze przez trzy dni. Potem i tak nie można powiedzieć, że zrobiły się warunki: ciepło, w ścianie dużo świeżego śniegu.

Dla niektórych z nas czas wyjazdu dobiega końca. Tomek jako pierwszy decyduje się na zejście. Ja zmieniam plany - podłączam się pod projekt wejścia na Uszby. Kolejna ciepła noc wykusza Jasia. Nie mamy ochoty na przechodzenie w tej temperaturze uszbijskiego lodospadu. Zostaję z Adamem. Obaj też jesteśmy już zmęczeni tym czekaniem i decydujemy, że albo jutro

albo wcale. W nocy znów ciepło. Nad ranem zamółka jak w szachowej rozgrywce. Wybieramy ruch w przód. Po zejściu na lodowiec uznajemy, że była to trafna decyzja, bo śnieg jest zmrożony na beton. Po sześciu godzinach i pokonaniu różnicy wysokości ok. 1000 m zakładamy startowy biwak na „poduszce” Uszby. Reszta dnia to wygrzewka w słońcu. Myślę, że tym razem nic nie może nam przeszkodzić. Jeszcze dwa razy w nocy sprawdzam warunki. Idealnie! Jednak tuż przed planowaną pobudką dostrzegamy w namiocie cyklicznie powtarzające się błyski. Myślę sobie: to niemożliwe. Wskakujemy z namiotu i nie możemy uwierzyć własnym oczom. Nie to, że jakaś burza, to cały horyzont podświetlony od wałących piorunów sunie w naszym kierunku. Dobra, czas przyszedł i na nas. W pośpiechu pakujemy biwak i spadamy w dół. Znow bazy i upragniony rest. Czasem myślę, że długie czekanie pod ścianą bardziej wykańcza psychicznie niż sama droga.

Ruszamy realizować dalsze plany. Mam taką zasadę, że jak coś się nie udaje z jakiś przyczyn, to drugi raz w tym sezonie nie próbuję. Moja propozycja to szczyt Szczurowskiego 4259 m drogą Abalakowa 5B przez płn.-wsch. ścianę. Adam aprobuję pomysł. A więc znów „niemiecki biwak” i podejście po tym rumowisku. Następnego dnia, już z biwaku, wpatrujemy się w ścianę. Niepokoi nas trochę olbrzymia szczelina brzeżna. W opisie pierwszego przejścia cała grupa musiała zjechać do niej osiem metrów, po czym wypłynąć się jej pionową drugą ścianą.



Pln.-wsch. ściana Szczytu Szczurowskiego 4259 m., z Drogi Abalakowa 5B fot. i oprac. Paweł Karczmarczyk

Dostrzegamy miejsce z prawej strony od linii drogi, gdzie może puścić bez zjeżdżania. Startujemy jeszcze po ciemku. Przy szczelinie jesteśmy już w świetle dziennym. Miejsce wcześniej wypatrzone nie wydaje się jednak takie bezproblemowe. Pod szczeliną zakładamy stan i zostawiamy plecak. Mocno wyciągnięty zabijam dziabki

Pierwsze metry na Drodze Abalakowa (wspina się Kaczmar)
fot. Adam Banas



w nawis za szczeliną. Nogi do rąk i... wyszedł całkiem bulderowy start! Transport plecaka i trawers w lewo w kierunku drogi. Skala jest sucha, zatem na pierwszych wyciągach decyduję się zmienić buty na miękkie. Potem znowu dobywamy naszych „instrumentów” na mikstowe fragmenty drogi. Przed zmrokiem docieramy na miejsce

noclegu. To chyba jedno z ostatnich stadiów biwaku „leżącego” przed „siedzącym”. Żeby sen był bardziej spokojny, prócz asekuracji, montujemy dodatkowe odciążi, znacznie krepujące nasze ruchy na półce.

Drugi dzień - to ciężka robota od samego rana. Tu zaczynają się kluczowe fragmenty drogi. Po kilku wyciągach znów zmiana butów na miękkie. Zostawiam też plecak. Mokra i porośnięta mchami skala nie puszcza jednak klasycznie. Po długiej i żmudnej robocie przyszła kolej na transport wora. I tu głupi błąd kosztował nas wiele. Zapomniałem o przyczepionych z boku plecaka rakach. Po kilku ruchach przypominam sobie o nich, widząc jak w zwolnionym tempie lecą w dół ściany. Po bliżej nieokreślonym czasie nieustannego kłęcia uznaję, że lubię wspinanie m.in. za to, że trzeba być non stop czujnym i radzić sobie w każdej nowej sytuacji. Sprawa jest o tyle nieciekawa, że do samego wierzchołka zostały już tylko wyciągi mikstowe. Nie trudno się domyślić, że nasze tempo znacznie spadło. Cóż, jedyna sensowna droga na tym etapie prowadzi przez wierzchołek. Szybko też zorientowaliśmy się, że do wieczora nie zdążymy do szczytu.

Przed nocnym etapem gotujemy herbatę i wrzucamy coś do pustych żołądków. Noc mija bardzo szybko. Bardzo powoli przybliżamy się do upragnionego celu. Choć tego bardzo nie chcemy, coraz częściej przysypiamy na stanowiskach. Dopiero o 11 stajemy na topie. Siedzimy na nim do południa. Celowo zwlekamy z zejściem uszbijskim lodospadem - chcemy, by słońce przestało tam operować. Wieczorem jesteśmy znów na „niemieckim biwaku”. Ze zmęczenia obaj słyszymy tam rozmowy ludzi, muzykę, choć jesteśmy tu zupełnie sami. Pomimo, że droga nie przebiegła bezproblemowo, była miłym zwieńczeniem naszego pobytu w Adyl-su.

Adam wyjeżdża, a ja z Pudzianem jedziemy bez planów w dolinę Bezingi - królową kaukaskich regionów. Kuba już bez gipsu, z kijkami, swobodnie porusza się po bazie, wzbudzając sensację u wszystkich, którzy słyszają jego historię. Ja pomału zaczynam kombinować, jakby tu efektywnie spędzić czas. I, jak w powiedzeniu „mówisz i masz”, spotykam Bernharda - Niemca, którego wielu skojarzy pewnie z zeszlorocznego obozu zimowego w Moku. Co ciekawsze, mieliśmy już okazję wspinać się razem na Niżnich Rysach. Bernhard też, tak jak ja, jest sam i w dodatku ma dwa tygodnie wolnego czasu. Śmiejemy się ze spotkania i ze zbiegu okoliczności - przecież tego nie planowaliśmy. Obaj mamy już na koncie kilka dróg w tym sezonie, więc od razu przechodzimy do konkretów. Po przeanalizowaniu paru propozycji wybieramy drogę na Dżangi-tau Wsch. 5038 m płn.-wsch. granią 4B. Na „austriackim biwaku”, jak zwykle dużo narodu. Spotykam wielu znajomych. Bezingi to region, do którego wszyscy wracają.

Wychodzimy w nocy, bez ustalonego planu gdzie zabiwakujemy. Do pierwszej platformy dochodzimy dość wcześnie, zatem decydujemy się na wspinaczkę do miejsca drugiego biwaku. Planujemy albo tam zostać, albo rozbić namiot i jeszcze tego samego dnia pokusić się

o wierzchołek. Jakoś tak wyszło, że drugiego biwaku i zarazem ostatniego, z tych rekomendowanych, nie zauważyliśmy i wyszliśmy w śnieżno-lodową grań podszczytową, gdzie zastała nas solidna burza. Po przeczekaniu pierwszej partii grzmotów w nierozstawionym namiocie zjechalśmy z wierzchołka grani i zorganizowaliśmy w pośpiechu niezbyt komfortowy, półsiedzący biwak. Rano na pierwszy rzut oka pogoda nie zapowiadała żadnej zmiany, więc rozpoczęliśmy zjazd w dół. Chociaż pogoda później się poprawiła i czuliśmy żal, że byliśmy tak blisko szczytu, to więcej nie analizowaliśmy naszej decyzji.

Już na „austriackim biwaku” musimy wstępnie poruszyć kwestie dalszych planów. Chodzi o to, czy zostawić tu sprzęt i zrobić na lekko inną drogę, czy porzucić otoczenie bezingijskiego lodowca. Pokusa podejścia na lekko wygrała. Zostawiamy wszystko, co się da, i zbiegamy na reścik do bazy. A rest w bazie „Bezingi” to nie byle co. Bary, znajomi, karaoke, słowem tętniąca życiem wioska wspinaczkowa.

„W międzyczasie” dojeżdża do nas nasz kolega klubowy Łukasz. Choć jest sam i to jego pierwszy wyjazd w Kaukaz, wykazuje duży zapał do wspinania. Szybko znajduje zespół, w którym robi drogę na Uliu 4346 m płn.-wsch granią 2A, a zaraz potem, z rosyjskim partnerem, Mały Ural 4200 m wsch. granią 3B.

Wybraliśmy już z Bernhardem cel naszej drugiej wspinaczki. Jest to droga na szczyt Szota Rustaweli 4960 m północną ścianą 5B. Czytałem o niej dużo. Budzi respekt, ponieważ część ścianowa to 1700 metrowa lodowa deska bez możliwości założenia biwaku. Do tego dochodzi 500 m fragment dość trudnego odcinka bezingijskiej grani i zejście płn.-wsch. granią Dżangi-tau Wsch. Dół drogi jest obiektywnie niebezpieczny - zagrażają mu olbrzymie wiszące seraki. Ten fragment trzeba przechodzić nocą przy świetle czołówek.

Droga Lalelina na płn. ścianie Szczytu Szota Rustaweli 4960 m., 5B z zejściem płn.-wsch. granią Dżangi-Tau Wsch. 5038 m.

tof. Maciej Olinkiewicz, oprac. Paweł Karczmarczyk





Bernhard Voss na ptn. ścianie Szoła Rustawelli fot. Paweł Karczmarczyk

Bez wspinaczkowego gruzu szybko znajdujemy się na „austriackim biwaku”. Odpoczywamy kilka godzin i o 22.30 opuszczamy to przyjemne miejsce. Dwie godziny zajmuje nam podejście pod podstawę ściany. Jest kompletnie ciemno, a światło czołówek nie jest w stanie objąć ogromnych lodowych formacji. Bez żadnej orientacji pniemy się w górę systemem pionowych ścianek i półek. Dopiero olbrzymie seraki, które nagle wylaniają się z ciemności, wskazują nam kierunek wspinaczki. O świcie wychodzimy na deskę, groźne nawisy zostawiając za plecami. Teraz liczy się dobre tempo, bo deska nie lubi drugiej



Wizytówka
Instruktora

połowy dnia. Cała wspinaczka na takiej drodze to niekończące się powtarzanie tych samych ruchów. Tyły pękają nam od stania na przednich zębach raków w twardym lodzie, a ręce mdleją od ilości wkręcanych śrub. Po 13 godzinach wspina wychodzimy na grani, gdzie zakładamy pierwszy biwak. Ale to nie koniec pracy. Topienie śniegu, gotowanie jedzenia, uzupełnianie płynów - wszystko to wymaga jeszcze dodatkowego czasu i energii. Rano likwidujemy biwak i ruszamy granią w kierunku szczytu. Wieje silny wiatr. Na drodze napotykamy wielkie nawisy, a wspinaczka przeplatana jest zjazdami. O 13 stajemy na wierzchołku. Kiedy schodzimy na przełęcz między Rustaweli a Dzangi-tau Wsch., rozważamy, czy nie spłacić długu wobec jednego piku. I choć droga w zejściu omija go trawersem, postanawiamy wyrównać nasze porachunki i o 16 stajemy na Dzangi-tau Wsch. Przed zmrokiem zjeżdżamy do pierwszej platformy na ptn.-wsch. grani. Tu rozbijamy nasz drugi biwak. Następnego dnia kończymy zjazdy i schodzimy na „austriacki biwak”. Zaskakuje nas tu obecność Kuby, który jeszcze z niezbyt sprawną nogą podszedł do nas, zakładając po drodze dwa biwaki (normalny czas podejścia to 6-8 h). Jest też Łukasz, który wybiera się jutro solo na Pik Siemionowskiego 4040 m pld. granią 1B. Na zajutrz, w ekspresowym tempie, wchodzi na wierzchołek i wraca zanim jeszcze zdążyliśmy otworzyć oczy. Zwijamy obóz i z hasłem „kto ostatni - stawia browar” ruszamy na dół.

Bernhard wyjeżdża dwa dni później. Z Łukaszem próbujemy wyjść jeszcze na coś łatwego ale zła pogoda i inne okoliczności zmuszają nas do wyjazdu.

Cztery drogi przez dwa miesiące... Czy to mało? Zdarzało się robić więcej, ale jeśli wziąć pod uwagę powagę dwóch z nich i wypadek Kuby na początku wyjazdu, to wydaje mi się, że jest to dużo.



8848 m wysokości. Dojmujące zimno,
wiatry i rozrzedzone powietrze. Mount
Everest, nieosiągalny do 29 V 1953.
Gdy tego dnia Nowozelandczyk Edmund
Hillary i himalajski Sierpa Tenzing
Norgay zapisywali się w historii jako
pierwsi zdobywcy najwyższego szczytu
świata, historia Tyskiego liczyła już
sobie 324 lata.

Tyskie ma 375 lat

KIEDY ZDOBYWANO NAJWYŻSZĄ GÓRĘ ŚWIATA,
MY JUŻ WARZYLIŚMY PIWO



PIK POBIEDY

- GÓRA (NASZEGO) ZWYCIĘSTWA

tekst i zdjęcie z arch.: Marcin Miotk

15 sierpnia 2004 r. w czternastym dniu akcji górskiej zespół w składzie Marcin Miotk (KW Warszawa) i Jacek Teler (Pamir) osiągnęli główny wierzchołek Piku Pobiedy (7439 m n.p.m.), uznawanego za jeden z najtrudniejszych siedmiotysięczników świata. Tego trzeciego polskiego wejścia dokonali w stylu alpejskim (szybki atak na górę bez wcześniejszego zakładania obozów) drogą prowadzącą przez Pobiedę Zachodnią (6918 m n.p.m.).

HISTORIA

Pikiem Pobiedy zainteresowano się przy okazji zdobywania innego strzelistego siedmiotysięcznika - Chan Tengri - w latach 30-tych XX wieku, jednakże dopiero ponad 10 lat później, w 1943 r. zdołano go zmierzyć i nazwać. W epoce bitew o Stalingrad i Leningrad nie powinna dziwić nazwa - Pik Pobiedy (z rosyjskiego: Góra Zwycięstwa). Próbowano go zdobywać już w latach 30-tych (np. wyprawa L. Gutmana z 1938 r.), lecz sukces odniosła dopiero w 1956 roku narodowa wyprawa rosyjska pod kierownictwem Witalija Abałakowa. Pobjeda zasłynęła niesłychanymi trudnościami technicznymi (większość dróg osiąga ostatni stopień w skali rosyjskiej - poprowadzono je dopiero w latach 80/90). Oprócz trudności technicznych Pobjeda „oferuje” specyficzną pogodę, której odpowiednikiem w języku ludzi morza byłby warunki panujące wokół przylądka Horn. Góra leży bowiem na styku ogromnych lodowców pasma Tien-Shan (m.in. drugi co do wielkości lodowiec górski - Inylczek Południowy) i jeszcze większych obszarów chińskiej pustyni Takla Makan. Tak specyficzne usytuowanie sprawia, że na tym terenie powstają huraganowe wiatry - widoczne dzięki pióropuszu śniegu zwiewanemu z grani szczytowej w nieeliczne bezchmurne dni. Wszystko to składa się na legendę Piku Pobiedy funkcjonującą w środowisku wspinaczy wschodu: Nieważne, czy byłeś na Evereście - powiedz, czy wszedłeś na Pik Pobiedy. Do dzisiaj góra straszy swoją statystyką: na ok. 200 zdobywców przypada ok. 100 ofiar i często zdarzają się sezony bez wejść szczytowych.

WĄTEK POLSKI

Polacy, podobnie jak większość „innostraićców”, pojawili się pod Pobjedą dopiero w latach 90-tych. W roku 1994 górę atakowała ekspedycja z Katowic. Pierwszego polskiego wejścia dokonała wyprawa poznańska po kierownictwem Jarosława Żurawskiego w 1995 roku. Na szczyt weszli Zbigniew Trzmiel oraz Andrzej Dutkiewicz. W następnych kilku latach Pobjedę

atakowały mniejsze wyprawy. Jedna z nich zakończyła się sukcesem: w 2002 roku Marcin Kaczkan samotnie zdobył szczyt. W sezonie 2004 Pik Pobiedy szturmowały, niezależnie od siebie, cztery polskie grupy. Dwie z nich: „Bergson Tien-Shan 2004 Expedition” (Kinga Baranowska, Krzysztof Borkowski, Marcin Miotk) oraz „Pamir” (Paweł Roherych, Jarosław Żurawski, Jacek Teler) już na etapie obozu bazowego połączyły siły w zmaganiach z Górą Zwycięstwa. Celem było dokonanie trzeciego polskiego wejścia, pierwszego w stylu alpejskim. Wybraliśmy drogę autorstwa Medzmarishvilego, prowadzącą przez Przełęcz Dziki i Pobjedę Zachodnią (6918 m n.p.m.), która została wytyczona w 1961 roku.

LODOWIEC

Już następnego dnia po przylocie wyszliśmy w kierunku obozu pierwszego (4400 m n.p.m.) celem zostawienia depozytu. Droga prowadziła przez tzw. Bazę Kazachską, a następnie wzduż moreny bocznej lodowca Zwmzhdczka. Dojście do jedyńki, to najbardziej nie lubiana przez większość wspinaczy część drogi na Pobjedę. Sztuką jest wybranie optymalnego przejścia przez postrzępiony lodowiec - istny labirynt pułapek i dróg bez wyjścia. W takich warunkach trzeba pokonać 7 km. Droga rzadko jest wytyczona, jako że liczba wspinaczy atakująca Pobjedę jest niewielka (to samo dotyczy odcinków pomiędzy następnymi obozami), co bardzo kontrastuje z tłumami odwiedzającymi pobliskie Chan Tengri. „Pracujący” lodowiec powoduje, że przejście za każdym razem jest inne - nawet oznaczenie drogi GPS-em niewiele pomaga - zawalenie kilku mostków śnieżnych wymusza wytyczanie nowego szlaku. Zdarzało się - oczywiście popołudniami - że musieliśmy zdejmować buty i boso przechodzić arktycznie lodowate potoki. Inną niedogodnością było bardzo duże nasłonecznienie - równie dokuczliwe i niebezpieczne, jak ryzyko odmrożeń w wyższych partiach góry.

JAMA - NASZ PRZYJACIEL

Założenie obozu pierwszego i drugiego poszło nam bardzo sprawnie. Naszym najbardziej ulubionym obozem był obóz trzeci - jama śnieżna - gdzie spędziliśmy trzy dni czekając na poprawę pogody. Jama to wielki skarb w górach wysokich - szczególnie, jeśli jest prawie gotowa - nie traci się energii na rozbijanie namiotu, w czasie huraganów nie trzeba się całą noc modlić o to, aby nie odrzucić razem z namiotem, no i gotowanie jest znacznie przyjemniejsze. Jednak są też nieeliczne wady; wewnątrz jest cały czas bardzo zimno, zatem organizm potrzebuje dużo ciepła, energii, aby utrzymać odpowiednią temperaturę ciała.



Druga na szczyt

Widok z grani na Chan Tengri





Wspinaczka przed obozem II

Co można robić przez trzy dni zawieruchy w jamie śnieżnej? Prawie połowę czasu wypełniało gotowanie, jedzenie i picie. Wytopienie litra wody ze śniegu zajmuje około godziny. A co to jest litr wody na prawie 6 tysiącach metrów? Poza tym cały czas rozmawialiśmy o ... górach, potem dla odmiany o ... górach, a jak już wszyscy byli zmęczeni tym tematem to rozmawialiśmy o ... górach. No, było też trochę polityki - wiadomo - Polacy. Jako że znajdowaliśmy się w pozycji horyzontalnej, a głowy ledwo wystawały z puchowych śpiworów, to argumenty trzeba było mieć mocne, bo podczas dyskusji nie dało się zgasić partnera wzrokiem.

ATAK SZCZYTOWY CZAS ZACZAĆ

Poranek 13 września powitał nas wietrzna, ale stabilną pogodą. Postanowiliśmy nie wychodzić za wcześnie - aby zminimalizować ryzyko odmrożeń chcieliśmy wyżej wspiąć się w słońcu. Na tej wysokości nie poruszaliśmy się szybko, skupiliśmy się raczej na tym, aby nie pogubić się gdzieś w partiach podszczytowych Pobjedy Zachodniej. Każdy z nas swoim GPS-em co jakiś czas znaczył drogę. Bardzo przydało się to w drodze powrotnej. Obóz 5 rozbiliśmy przy skałach tuż poniżej wierzchołka Pobjedy Zachodniej. Zgodnie z przewidywaniami głowa zaczęła boleć, ale wszystkie inne symptomy wskazywały, że jesteśmy w dobrej formie, apetyt dopisywał. Wieczorem połączyliśmy się z Jarkiem i Pawłem - właśnie

szukowali się do spania w jamie w obozie poniżej.

Następnego dnia wczesnym popołudniem dotarliśmy do Obelisku - miejsca obozu szóstego (dla porównania podczas zeszłorocznej wyprawy na ośmiotysięcznik Cho Oyu startowałem na szczyt z obozu drugiego - to pokazuje skalę trudności i długości drogi na Pobjedę). Długo szukaliśmy jakiejś starej jamy śnieżnej. Bez powodzenia. Rozbiliśmy więc namiot po stronie chińskiej, obudowaliśmy go murkiem śnieżnym i ... zaczęliśmy się modlić, aby taka pogoda utrzymała się do jutra.

Nasze modły zostały wysłuchane i rankiem 15 sierpnia rozpoczęliśmy atak szczytowy na położony prawie 500 metrów wyżej główny wierzchołek masywu Pobjedy. Wspinaczka na szczyt była bardzo trudna, ponieważ biegła ona ostrzem nieubezpieczonej grani (na całej drodze na szczyt było tylko ok. 15 metrów starej liny poręczowej). Każdy nieuważny krok groził dwukilometrowym upadkiem na stronę kirgiską lub chińską. Pogoda dopisywała. W partiach podszczytowych teren był mniej stromy, ale za to bardziej skomplikowany orientacyjnie. Wreszcie po niecałych 4 godzinach dotarliśmy na szczyt! Ogromna radość! Dla Jacka była już to trzecia wyprawa na Pobjedę. Jego upór został wynagrodzony. Zapierające dech widoki na stepy Kazachstanu i pustynie Takla Makan sprawiły, że zapomnieliśmy o dotychczasowych trudach.

Komputery **SUUNTO** dla aktywnych

SUUNTO OBSERVER



SUUNTO X6



SUUNTO X6HR



SUUNTO VECTOR



SUUNTO X3HR



- grupa funkcji **ALTIMETRU** (16 funkcji, m.in. wysokość nad poziomem morza, rejestrator szybkości zmiany wysokości itd.) • grupa funkcji **POGODOWYCH** (m.in. ciśnienie atmosferyczne, temperatura, alarm pogodowy itp.) • funkcje **KOMPASU** • funkcje **STOPERA**
- funkcje **POMIARU PULSU** • zaawansowane funkcje **ZEGARKA** • funkcje **KLINOMETRU**
- wodoodporność do 100 m, wstrząsoodporność, interfejs **PC**, sygnalizacja zużycia baterii
- wykonane z najlepszych materiałów: tytan, aluminium, stal nierdzewna *

* funkcje aktywnie zależą od modelu

SUUNTO ADVISOR



SUUNTO X-LANDER



www.WTC-sport.pl





Widok ze szczytu na grań Pobiedy



Marcin Miotk na szczycie Pobiędy

DALEKO DO BAZY

Zdawaliśmy sobie sprawę, że przed nami najtrudniejsza część wyprawy - bezpieczny powrót do bazy. Euforia po zdobyciu szczytu, skumulowane zmęczenie, osłabienie organizmu, chęć szybkiego powrotu do bazy - to wszystko sprawia, że 70% wypadków w górach wysokich zdarza się właśnie podczas zejścia lub zjazdów. W pamięci mieliśmy jeszcze tragiczną śmierć Grzesia Skorka - właśnie podczas zjazdu. Po dotarciu do obozu szóstego zdecydowaliśmy, że nie będziemy już dzisiaj schodzić niżej, ponieważ nie byliśmy pewni, czy starczyłoby nam czasu na bezpieczne dotarcie do „piątki”. Zgodnie z przewidywaniami ranek 16 września powitał nas załamaniem pogody, widoczność spadła do kilkunastu metrów. Szybko zwiniliśmy namiot i wyruszyliśmy na grań w stronę Pobiędy Zachodniej. Dzięki wcześniejszym pomiarom GPS-em nie błędziłyśmy zbyt wiele, jednak głęboki świeży śnieg oraz porywisty wiatr powodowały, że poruszaliśmy się bardzo wolno. Po dotarciu do jamy na 5600 m postanowiliśmy tam zabiwakować - robiło się ciemno i dalsze schodzenie byłoby zbyt niebezpieczne. Wieczorem, podczas łączności z bazą, dowiedzieliśmy się, że podczas

zejścia z Pobiędy Zachodniej zginął turecki alpinista. Schodził tą samą drogą co my - tylko kilka godzin wcześniej. Wreszcie następnego dnia, po wyczerpującym slalomie między szczelinami lodowca Zwieżdoczka, dotarliśmy szczęśliwie do bazy.

NAPRAWDĘ WARTO

Jarek i Paweł też dokonali dużej rzeczy - dotarli na wierzchołek Pobiędy Zachodniej, gdzie spędzili noc. Dla porównania większość wspinaczy atakująca w tym roku Pobiędę dotarła tylko do wysokości ok. 6000 m n.p.m. Zdajemy sobie z Jackiem doskonale sprawę, że nasz sukces to w dużej mierze zasługa całej wyprawy. Kingo, Krzyśku, Jarku, Pawle - bardzo Wam dziękujemy!

Kilkukilometrowy labirynt szczelin lodowca Zwieżdoczka, wspinaczka przez pionowe lodowe seraki, czterokilometrowa grań na siedmiu tysiącach metrów, eksponowana, nieubezpieczona grań szczytowa, konieczność założenia aż sześciu obozów - to wszystko sprawia, że Piki Pobiędy szybko weryfikuje umiejętności każdego alpinisty. Ale warto próbować - to przepiękna i niepowtarzalna góra.

Marcin Miotk - lat 31, alpinista młodego pokolenia, fotograf, filmowiec górski, maratończyk. Od kilka lat sukcesywnie realizuje swoje marzenia związane z górami wysokimi. Mimo młodego wieku zdobył kilka wysokich szczytów, w tym dwa szczyty ośmiotysięczne: Aconcagua (1999), Shisha Pangma 8013 m n.p.m. (1999), Mt Kenia (2001), Chan Tengri (2002), Cho Oyu 8201 m n.p.m. (2003), Piki Pobiędy (2004).

Więcej informacji, zdjęć z wyprawy na www.everest-top.com

Wyprawę w sprzęt (namioty, kurtki, śpiwory) wyposażyla firma BERGSON.



WSPOMNIENIA ZIOMKA, CZYLI JAK JEŹDŻONO DO CHAMONIX W SCHYŁKOWYM PRL-u

tekst: Ziemowit Wiński



Zbyszek Jaroszewicz (stoi i topie) i Krzysiek Janiszewski („Mikry”) na dworcu Sudbanhof w Wiedniu (03.07.1984) fot. Ziemowit Wiński

Ktoregoś dnia, gdy przeglądałem sobie dyskusję prowadzoną na forum klubowym w Internecie, dotyczącą planowanego na lato obozu alpejskiego, po raz kolejny zadumałem się, jak dramatycznie zmieniła się rzeczywistość. Bo na czym polegają dzisiaj problemy związane z planowaniem takiego zgrupowania? Wystarczy wybrać rejon, zapewnić sobie urlop (jeśli się pracuje), zorganizować kasę i dogadać się z kimś w kwestii transportu, czyli najczęściej miejsca w samochodzie. To brzmi banalnie. I oto uświadomiłem sobie, że w czasach moich wczesnych wyjazdów w Alpy, a było to circa 20 lat temu, cały proces, którego finałem było rozbiście namiotów w Chamonix lub gdzieś w Dolomitach, to było olbrzymie, rozciągnięte w czasie i wymagające wiele zachodu przedsięwzięcie. Przedsięwzięcie przez duże P. Teraz, gdy z perspektywy czasu przypominam sobie te wszystkie, częstokroć absurdałne działania, to resztki wosów jeżdżę mi się na głowie. Pomyślałem, że warto może opisać ku ucieście (?) młodzieży klubowej, tę niebywałą biurokratyczną machinę, związaną z organizacją wydarzenia, któremu na imię było KLUBOWY OBÓZ ALPEJSKI KW WARSZAWA, a przy okazji musnąć wyjazdową warstwę anegdotyczną.

Czynnością, od której należało zacząć, było umieszczenie takiej imprezy w kalendarzu klubowym i zgłoszenie jej wg specjalnej formuły do KALENDARZA IMPREZ KLUBOWYCH PZA (podając ilość uczestników, cel, termin oraz personalią kierownika). Dane te należało przekazać jesienią, bo KALENDARZ ogłaszany był na początku roku. Brak zgłoszenia skutkował nieu-

mieszczeniem obozu w oficjalnym grafiku, a tym samym wszystko się waliło, bo w odpowiednim momencie nie można było dostać paszportów z Centralnego Ośrodka Sportu. W tym miejscu ciekawostka: w owych czasach można było mieć kilka paszportów (choć żadnym nie można było dysponować według własnego widzimisie): jeden do tzw. krajów demokracji ludowej, drugi - prywatny - na wszystkie kraje świata (prywatny, ale zdeponowany w Biurze Paszportowym), paszport służbowy (też gdzieś tam zdeponowany) - to dla szczęśliwców wysyłanych za granicę przez, jak to jakoś ohydnie mi brzmi, ZAKŁAD PRACY, no i wreszcie służbowy paszport sportowy, przechowywany w COŚie.

Zanim wyjazd został ostatecznie zatwierdzony, trzeba było zakrętnąć się wokół spraw innych. Mianowicie należało zacząć wylaniać uczestników obozu. Już od końca października w lokalu klubowym wisiła lista, na którą wpisywali się chętni. Samo wpisanie się niczego nie gwarantowało, bo liczba miejsc była zawsze ograniczona, zazwyczaj do 10-20 osób. Kluczem do sukcesu było złożenie do Klubowej Komisji Sportowej podania z uprzejmą prośbą o zakwalifikowanie na wyjazd. Podanie zawierać miało dwa niezbędne elementy: wykaz przejeżdż z ostatnich sezonów i fatalny drobniaczek, jakim był stopień wg kryteriów PZA - w góry lodowcowe - minimum TATERNIK SAMODZIELNY Z UPRAWNIENIAMI ZIMOWYMI. Oczywiście ciśnie się logiczne pytanie, dlaczego nie zgłaszano większej liczby uczestników? Były ważne powody. Po pierwsze klub

przeznaczał na taki wyjazd dofinansowanie, które podzielone na zbyt wiele osób mogło być niesatysfakcjonujące, a drugim problemem było zaproszenie. Otóż warunkiem koniecznym, aby taki obóz mógł zaistnieć, było zdobycie zaproszenia od jakiegoś klubu z państwa alpejskiego, dla określonej liczby osób. Zazwyczaj było ono pozyskiwane prywatnymi kanałami przez naszych bywałych w świecie starszych kolegów. Klub alpejski teoretycznie ponosił odpowiedzialność za zapraszaną grupę, więc niezręcznie było występować o np. 40 osobowy inwit, tym bardziej, że mogłoby to wzbudzić podejrzenia smutnych panów w COSie. Gdy wreszcie po różnych przepychankach i podchodach, Zarząd klubu zatwierdził skład z uwzględnieniem 2-3 osobowej rezerwy, można było pomiędzy przyszłych uczestników rozdzielić zadania. Bo cóż, ktoś musiał zająć się załatwieniem zezwolenia na zakup ponadnormatywnych ilości żywności, załatwić zezwolenie na wywóz tych strategicznych produktów za granicę, ktoś musiał tę żywność zakupić i rozdystrybuować, ktoś musiał kontaktować się z COSem (paszporty, wize), ktoś pilotować zakup biletów kolejowych... Zauważcie, że wtedy w Alpy jeżdżono praktycznie wyłącznie pociągami. Wynikało to nie tylko z tego, że mało kto miał wtedy samochód, a pociągi były relatywnie tanie, bo ceny przeliczano przez jakiś abstrakcyjny kurs dolara, ale przede wszystkim z wymogu, by na taki oficjalny wyjazd wszyscy uczestnicy jechali wspólnie. W praktyce dopuszczalne było rozdzielenie większej grupy na dwie mniejsze, pełna dowolność panowała natomiast w czasie powrotu do kraju. Ważne było, żeby w realnym czasie wrócili wszyscy uczestnicy. Usprawiedliwiani byli tylko Ci, którzy w górach polegali, natomiast przypadki tzw. wówczas „wyboru wolności” były przez „czynniki nadrzędne” bardzo źle widziane i dla klubu kłopotliwe. Trzeba przyznać zresztą, że taka obywatelska niesubordynacja zdarzała się relatywnie

rzadko. Z dzisiejszej perspektywy zaskakujący musi być czas trwania takich wyjazdów. Zasadniczo oscylował od sześciu tygodni do dwóch miesięcy, a gdy ktoś chciał sobie jeszcze przy okazji trochę popracować w winnicach, to i stosownie dłużej. Jeżeli nieroztropnie zainteresujecie się, skąd brano masowo tak długie urlopy, to króciutka dygresyjka, tylko z pozoru nie na temat, wszystko wyjaśni. Pamiętam taki obóz zimowy w Dolinie Wielickiej - notabene jedno z trzech dwutygodniowych zgrupowań na Słowacji organizowanych owej zimy 1986 roku przez KW Warszawa, gdzie pośród 20 uczestników, samych zdrowych i w kwiecie wieku facetów, było tylko pół etatu! No cóż, w ponurych latach osiemdziesiątych praca na etacie zasadniczo nie miała głębszego sensu. Wtedy pieniądze raczej się załatwiała, niż zarabiała, bo i niebawem wtedy zyskowe prace wysokoociowe oparte były bardziej na przewale, niż na tym, co się obecnie uznaje za pracę. Skoro jesteśmy przy szmalu, to warto zauważyć, że większość kosztów złotówkowych obozu alpejskiego (bilety, oficjalne zakupy żywności, jakieś ubezpieczenie) pokrywał klub. Realnym kosztem były dolary - jedyna waluta powszechnie dostępna na czarnym rynku (wtedy jedynym). Zabierało się na taki wyjazd do Chamonixu 120 - 300 doliców, ale uwaga - pieniądze te były potrzebne tylko na uzupełnienie sprzętu, kolejki, świeżą żywność i rozrywki. Noclegi były za darmo, o czym dalej, a całą podstawową żywność ciągnięta była z Polski. Pamiętam zawistne spojrzenia przypadkowych przechodniów, gdy wywoziliśmy z SEZAMU (ul. Marszałkowska) paletę z kilkudziesięcioma kilogramami cukru, kaszy gryczanej, serów topionych i puszkowanych wyrobów garmazeryjnych, czyli wspaniałych pasztetów z kurWy i nie mniej apetycznych „z dzieci” (BOBO-VITA). Konserwy mięsne i suszone kielbasy wydawano nam przeważnie na Żeraniu, tu już z zachowaniem pełnej dyskrecji.

Ziomek i Asceła fot. Piotr Panufnik





Chamonix 1983. Na wycieczce do Ref. Albert 1er, od lewej: Wiesław Grzybowski, Bogumił Stama, Tomasz Kopyś i Zbigniew Skierski
 fot. Janusz Kurczab

Po wielu tygodniach użerania się, nerwówki i zwykłego zapieprzania, nadchodził wreszcie ten dzień, gdy cała ekipa - każdy spakowany w trzy plecaki - wsiadała do pociągu wiozącego nas na WESOŁY WEŚCIK. Podróż trwała prawie dwie doby, a przesiadka w Wiedniu, przez co bardziej przedsiębiorczych kolegów, wykorzystywana była do załatwienia poważnych drobnych biznesów. Rytualny handelek na Mexico Platz (wódka, ale też i kawior) wzbogacał niektóre kiesy. Był to jednak tylko folklorystyczny przerywnik w męczącej podróży przez lepszą Europę.

W Chamonix mieszkaliśmy, podobnie jak koledzy i bardzo nieliczne koleżanki z innych klubów, na dzikim obozowisku w części miasta zwanej Biollay. Była to darmocha. W kilkudziesięciu namiotach koczowało ponad 200 wspinaczy. Nic dziwnego, że władze gminy Chamonix usiłowały nas stamtąd wysiedzieć. Od 1985 roku wyznaczono nam, nadal bezpłatny, teren do campowania w Les Praz, mniej dogodny, bo kilka kilometrów od centrum. POLAK POTRAFI. To hasło wspaniale, niemalże w krystalicznie czystej formie sprawdziło się w trakcie tych wesołych obozów. Organizowanie wielotygodniowej egzystencji setek osób, które miały ograniczone fundusze i wielkie pragnienie lojenia w Alpach, to był swoisty majstersztyk, choć przynajmniej, że często tyleż zabawny, co jednak również żałosny. A oto garść chaotycznych przykładów.

Już wcześniej było wiadomo, że trzeba przywieźć z Polski dużo monet o określonych nominałach, bo francuskie urządzenia - samoobsługowe pralki, automaty do sprzedawania napojów i słodczy, automaty telefoniczne etc. - łatwo można było oszukiwać. Nie dało się, ku rozczarowaniu niektórych,

niczego zaradzić w kwestii bankomatów. Pamiętam zdumionych Franoli, którzy niczego nie rozumiejąc wybałuszali gały, gdy ekipa naszych lojantów wyprane, mokre ciuchy przenosiła z jednej pralni na sąsiednią ulicę do innej, gdzie rzeczy były wrzucane do suszarek. Tajemnica manewru była jednak oczywista: w pierwszej pralka akceptowała złotówki, ale suszarka była oporna, w drugiej - na odwrót.

Działalność w górach tak staraliśmy się planować, aby być na dole w sobotę, bo to dzień FAJANSU. W centrum Chamonix, w soboty, odbywał się tradycyjny handel warzywami i owocami. Cała sztuka polegała na tym, by pozyskać maksimum tego, co spadło z pańskiego stołu, tj. wszelkie jadalne odpady. Litościwi sabaudzcy rolnicy widząc o co chodzi, czasem dosłownie podrzucali nam całkiem mało zgniłe pomidorki czy melony. Mam przed oczami widok szanowanego teraz profesora G., który pędził co tchu za toczącą się cebulą poturlaną przez chłopca. Widzę fikające nogi profesora Ś., gdy ten w poszukiwaniu odpadowych brzoskwiń zbyt głęboko zajrzał do wysokiego pojemnika na śmieci. Były to chwile pokory, ale gdy wracaliśmy na obozowisko taszcząc pełne kartony dóbr wszelakich, gdy przed każdym namiotem przyrządzano prawdziwe zupy jarzynowe, fruit- i veg-salaty i towarzyszyły temu spojrzenia osłupiałych Angoli, którzy w tamtejszej hierarchii stali tylko o jeden (dość co prawda wysoki) szczebel wyżej niż my, to nasze samopoczucie rosło ponad miarę. Angole zresztą dość często dziwowali się, że ludzie z tak biednego kraju mogą całe lato spędzać w Chamonix codziennie jedząc mięso, a im kilkaset funtów, które mogą przeznaczyć na wakacje, wystarcza na 3 tygodnie.



Obozowe życie w Chamonix
 fot. Janusz Kurczab

Na Biollay'u nie było takiego zbytku jak przysznice, a myć się jednak czasem trzeba. Wspaniałe nadawał się do tego estetyczny miejski basen. Wystarczyło tylko od tzw. dalszej strony, dyskretnie, ale bez przesadnego skrępowania, przejść przez ogrodzenie i już można było w przybasenowej umywalni - nadal wywołując zrozumiałe zdumienie i zainteresowanie miejscowych, w ciepłej wreszcie wodzie ogolić się, umyć zęby i co tam jeszcze komu trzeba było, a później umęczone alpejskimi wspinaczkami ciało wytaplać na pływalni.

Relaksując się po kolejnych wycieczkach wspinaczkach szwędaliśmy się po zaułkach Chamonix, fajansując butelki nadające się do skupu, kontrolując, czy w znanych nam automatach nie tkwią dające się łatwo „pozyskać” monety frankowe i ogólnie ciekawie się rozglądając, co też życie przyniesie. Któregoś razu odkryto, że na terenie pewnej posesji, na której była spora hodowla królików, magazynowano stopy bagietek, które na pewno stanowiły karmę. Uznaliśmy, że króliki mogą się z nami podzielić, tym bardziej, że w naszej ocenie zniknięcie co jakiś czas kilkunastu bułek z pokąsnego stosu było niezauważalne. Zaistniał jednak problem - buły były przeraźliwie suche i w takiej postaci nie nadawały się do jedzenia. I tu geniuszem i wielką zaradnością wykazali się koledzy Brunner i Orzechowa, którzy konstruowali przemysłowe urządzone, które za pomocą pary rewitalizowało pieczywo.

Nie ma czego ukrywać. W owym czasie głośno było o zwykłych, ordynarnych kradzieżach. Nie nasz klub brylował w tej dziedzinie, choć pewne incydenty się zdarzały. Przytoczę charakterystyczną moim zdaniem anegdotkę, która nieźle

obrazuje atmosferę panującą wokół zdobywania towarów. Pewnego razu wróciłem z miasta z butelką piwa. Jeden z kolegów, pamiętam, że był to Leszek W., wskazując na inkryminowaną flaszkę, zapytał niedbale: „Ukradłeś?” Moje: NIE zainteresowało go i spowodowało następne pytanie, w którym wyczułem nutkę zawiści: „ZNAJAZŁEŚ?” Znowu: NIE. Na co, tym razem z niedowierzaniem: „Dostałeś?” Pudło: KUPIĘM! Po wczytaniu tak wstrząsającej informacji, Leszek międląc w ustach coś na kształt „o, kurwa!” zniknął w czeluści namiotu.

Powszechne były przekręty z VATem. Wystarczyło być cierpliwym i mieć nieco tupetu, by w sklepach sportowych zdobywać faktury na nie swoje zakupy, po czym po ostemplowaniu ich fikcyjnego wywozu (pobliska granica ze Szwajcarią) - dawało się to robić - odbierać w sklepie zwrot podatku. Robiono przekręty z wynegocjowanymi przez nieocenionego Teddy'ego Wowkonowicza zniżkami na kolejkę na Midi. Itd., itp., etc.

A gdzie w tym wszystkim góry i wspinanie?

W latach 1983-85 ruszyła w Alpy młoda warszawska fala. Uderzyło na podbój Europy pokolenie napakowane na bunkrach w Janówku i Czosnowie, w skałach północnej Jury, rozwspinałe w szeroko rozumianym otoczeniu Morskiego Oka, przekonane o wyższości ducha słowiańsko-socjalistycznego nad zdegenerowanym duchem zbławzowanych społeczeństw dobrobytu. A tu TUPA BŁADA, zimny przysznice i pokora. Upraszczaając: różnica między nami (cały czas mam na myśli Warszawę, bo przecież nie np. czołowych Krakusów, proszę zauważyć) a Europą była mniej więcej taka, jak między korkerem podklejonym mikrogumą, a nowoczesnym obuwiem z podeszwą typu friction.



Chamonix 1975. Na basenie - leży Piotr Wojtek, z tyłu Mariusz Koras, Bogumił Stama, Krystyna Koras oraz ? fot. Janusz Kurczab



Okazało się, że umiejętności wystarcza tylko do przechodzenia niektórych standardów. Należy tutaj zwrócić uwagę na ważny fakt: programowo w wyjazdach tych nie uczestniczyli czołowi przedstawiciele warszawskiej szkoły boulderingu, której istnienie lansował w owym czasie główny jej animator, trener i ideolog Jan Wojciech Kubań. Chodzi tu o takie głośne nazwiska jak Lech Milczarek, Leszek Wojas, Marek Fabijanowski, Marcin Kwaśny, Michał Prądyński, bracia Okraśińscy czy wreszcie last not least Marcin Malczak (wg zgodnej opinii znawców, najlepszy w Polsce na framudze). Zresztą nie mieli oni odpowiednich stopni, kart taternika, kart zdrowia sportowca i czego tam jeszcze, więc żadna Wysoka Komisja nie dopuściłaby nikogo z nich do uczestnictwa w tak poważnych obozach.

Wartość tych wyjazdów polegała raczej na czymś innym. Oto - tu myślę o całym środowisku - poprzez umasowienie, Alpy zostały niejako oswojone. W ramach dziesiątek klubowych zgrupowań przez Chamonix - Mekkę europejskiego alpinizmu - przewinęły się setki polskich wspinaczy i to nie elita, jak bywało wcześniej, ale zwykła, niegdyś morskooiczna gawiedź. Żeby zdać sobie sprawę ze skali zjawiska, wystarczy przypomnieć, że mówiono już o konieczności negocjowania z władzami Chamonix budowy polskiego taboriska. W przedsięwzięcie zaczął mocno angażować się nie kto inny jak Zbyszek Skoczylas. Pomysł upadł, ale było o nim głośno. Za to każdego roku PZA desygnował, wzorem morskooicznych sezonów, swojego obserwatora, który miał sprawować pieczę ze strony Związku nad całym tym towarzystwem.

Bezpośredni kontakt z nowymi trendami, nowinki sprzętowe, rozszerzenie horyzontów wywarło trwałe i nie do przecenienia wpływy na mentalność tego pokolenia, ale to temat na inną, raczej poważniejszą opowieść.

Chamonix 1983. Na trawersie Mont Blanc, od lewej: Maciej Rzeszutko, Jarek Kowalik, Piotr Panufnik, Robert Baranowski
fot. Janusz Kurczab



Orzeł KW

2004

Nie było jeszcze w dotychczasowej historii przyznawania „Orłów KW” takiej rywalizacji o główną nagrodę w kategorii „przejścia górskie”, jak w tym roku. Członkowie Zarządu mieli nie lada problem z przyznaniem nagrody za najlepsze przejście klubowe. Co cieszy, powodem takiego stanu rzeczy była duża ilość dobrych przejść nominowanych do głównej nagrody.

W kategorii „przejść górskich” nominowani byli:

- Tadek Grzegorzewski - za przejścia słynnych tatrzańskich hakówek m.in. Pański Krzyż A3 i Nauka Haczienia A4 na Wielkiej Turni,
- Paweł Karczmarczyk - za przejście 4 dróg na Kaukazu w tym Drogi Abałakowa 5B na Piku Szczurowskiego (4259 m.) (w zespole z Adamem Banasiem) i Pik Szoła Rustaweli (4960 m.) północną ścianą 5B 1600 m + trawers do Dżangi Tau Wsch. (5038 m.)
- Dawid Kaszlikowski - za wytyczenie nowej drogi Barracuda 7c+ (VI.5) na ścianie Oujdad w Atlasie Wysokim (w zespole z Elizą Kubarską i Borkiem Szybajńskim).
- Marcin Miotk - za trzecie polskie wejście na Pik Pobjedy (7439 m.) Droga Medzmarishvilego 5B przez Pobjedę Zachodnią (w zespole z Jackiem Telerem).
- Piotrek Morawski - za pierwsze zimowe przejście

południowej ściany Shisha Pangma (8027 m.) Droga Hiszpańska (w zespole z Simone Moro).

- Wojtek Wiwałowski - za wytyczenie nowej drogi Trzeci Stopień Wyobcowania VI, A4 VI+, 60°, 1100 m na Torre Sud del Paine w Patagonii (w zespole z Krzysztofem Belczyńskim i Bogusławem Kowalskim).

Po rozpatrzeniu wszystkich „za i przeciw” Zarząd postanowił przyznać nagrodę „Orzeł KW” za rok 2004 - **Marcinowi Miotk** za wejście w stylu alpejskim na Pik Pobjedy (7439 m.). Za przyznaniem nagrody Marciniowi przemawia szybkość i styl wejścia oraz olbrzymie zaangażowanie osobiste.

W kategorii przejść skałkowych bezapelacyjnym kandydatem numer jeden do nagrody był **Kuba Ziółkowski** za przejście drogi Prawie wszystko na sprzedaż VI.7+ na Demonie w Podzamczu i to on został laureatem nagrody klubowej za rok 2004 w kategorii przejść skałkowych. Przejście Kuby biorąc pod uwagę wycenę trudności drogi jest jednym z najlepszych przejść w skałach w historii Klubu. Laureaci otrzymają wkrótce atrakcyjne nagrody od sponsorów nagrody. Wszystkim wyróżnionym i laureatom „Orla KW” serdecznie gratulujemy i życzymy w przyszłości równie wartościowych przejść w górach i skałach. Zarząd KW Warszawa



Marcin Miotk



Kuba Ziółkowski



ALP EXTREME

SZKOŁA ALPINIZMU

Wiesława Madejczyka

- * kursy na sztucznej ścianie
- * kursy skałkowe
- * kursy tatrzańskie letnie
- * kursy tatrzańskie zimowe
- * imprezy integracyjne
- * wynajem i obsługa przenośnej ścianki wspinaczkowej

Członkowie KW Warszawa 10% zniżki

www.alpextreme.com
info@alpextreme.com
 tel. 0603 062 633
 tel./Fax. (022) 823 13 12

MARK SYNNOTT

specjalnie dla A/Zero

**opowiada o początkach
swojej kariery i o tym, co
nastąpiło potem...**

Wywiadowcy A0:

Artur Paszczak

Alicja Paszczak

Mariusz Wilanowski

Opracowanie wywiadu:

Joanna Wasilewska

Artur Paszczak

Krzysztof Wasilewski

A0: Jak długo się wspinasz? Kiedy zacząłeś?

MS: Zacząłem w 1986 r., w wieku 16 lat i...

A0: Naturalnie, byłeś bardzo utalentowany...

MS: (śmiech) Byłem jednym z tych dzieciaków, które widziały zdjęcia ze wspinaczki i po prostu pomyślałem, że to super sprawa i że muszę się za to wziąć. Mój tata zabierał mnie pod klif, niedaleko domu...

A0: Twój tata był wspinaczem?

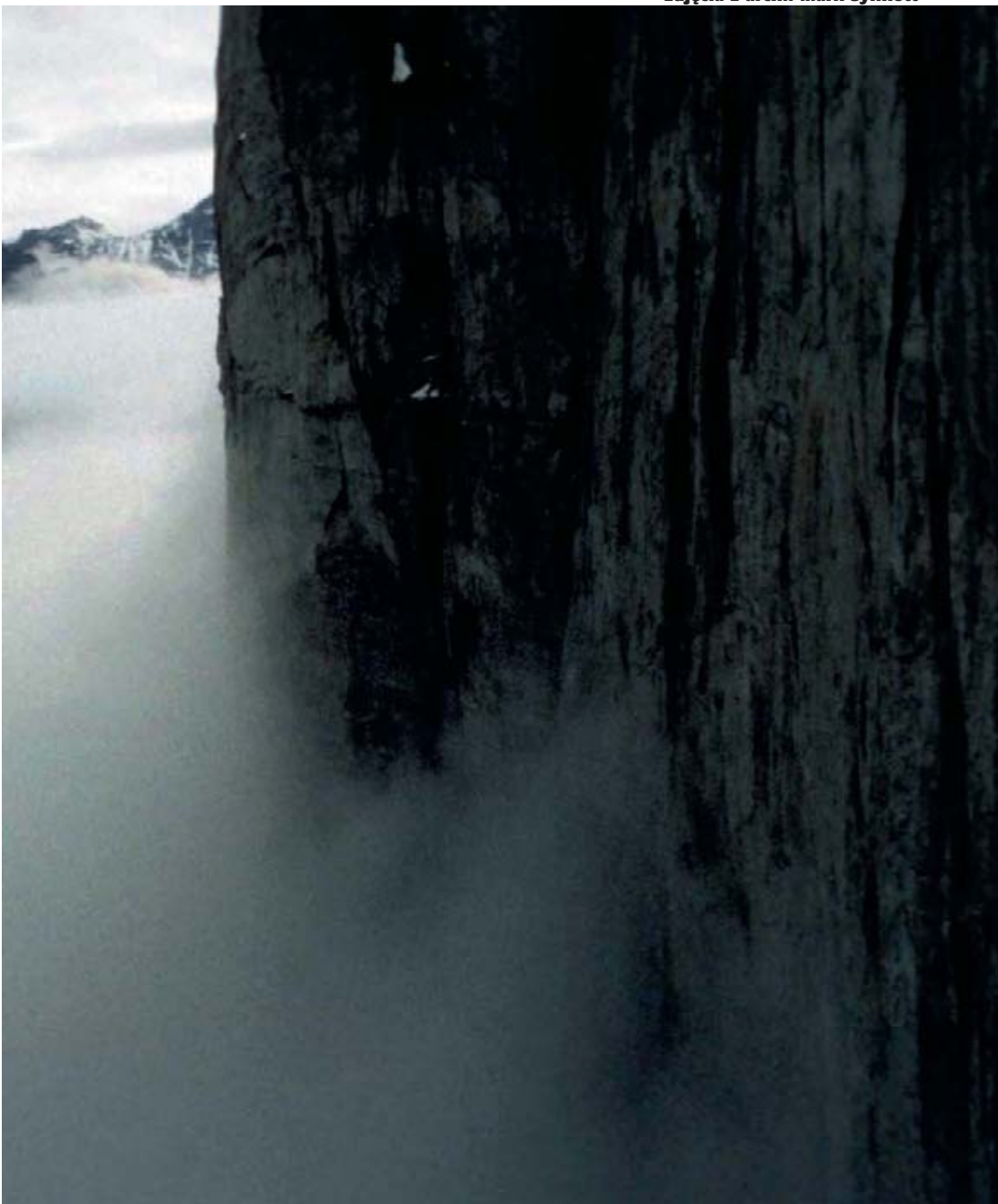
MS: Nie, sam nie był wspinaczem, ale podziwiał ich, uważał, że wspinaczka to fajne zajęcie. Więc zabierał mnie pod klif i obserwowaliśmy wspinaczy przez lornetkę. Myślałem, że właśnie to było ziarno, które potem zakiełkowało, a byłem wtedy naprawdę mały, miałem około 10 lat. Kiedy miałem już 15 lat, razem z kumplem zdecydowaliśmy, że wespniemy się na ten lokalny klif - Cathedral Ledge...

A0: Tak na marginesie, urodziłeś się w New Hampshire?

MS: Urodziłem się w Bostonie i tam mieszkalem, ale mieliśmy dom w górach, w New Hampshire. Tak więc mój tata, można powiedzieć, zapoznał mnie ze wspinaniem. Razem z przyjacielem założyliśmy taki klub - „Klub Szalonych Dzieciaków”. Robiliśmy różne ryzykowne rzeczy i pewnego razu postanowiliśmy wspiąć się na ten klif. O wspinaniu nie wiedzieliśmy nic, poszliśmy do szopy z narzędziami, znaleźliśmy linę, owinęliśmy się nią dookoła talii i po prostu zawiązaliśmy supeł!

**M
A
R
K
S
Y
N
N
O
T
T**





M A R K S Y N N O T T

Nie mogliśmy pójść tą naprawdę stromą częścią klifu, bo to wydawało się za trudne, ale w środkowej części znaleźliśmy żleb, o wycenie mniej więcej 5.6. Było tam jedno miejsce z pionową ścianką i nie mogliśmy go przejść, ale obok rośło drzewo, na które wspięliśmy się. Weszliśmy na gałąź, uwiesiliśmy się na niej, rozhuśtailiśmy się i przeskoczyliśmy na półkę. Wspinaliśmy się dalej aż do miejsca, z którego zostało około 15 metrów do szczytu; tam ściana stawiała dęba i zaczynało się prawdziwe skalne wspinanie. Mój przyjaciel poszedł do góry...

AO: Czy ty go w ogóle asekurowałeś?

MS: Nie, nie wiedziałem o tym zbyt wiele... Wydawałem mu po prostu linę, i powtarzałem: „Trzymam cię, trzymam cię”. Gdy mój kumpel znalazł się u góry, zaczął płakać. On i tak nigdy tego nie przeczytał, więc myślę, że mogą to powiedzieć. Słyszałem jego szlochanie i pomyślałem, że on zaraz spadnie. Owinąłem więc linę kilkanaście razy dookoła drzewa, chwyciłem jej koniec i wrzasnąłem: „W porządku, możesz spadać”, ale on nie odpadł. Wycofał się i wtedy znaleźliśmy półkę, którą wiódł trawers do tej „prawdziwej” części klifu. Owinęliśmy się liną przez ramię i mając na nogach buty do koszykówki, poszliśmy tą półką do miejsca, gdzie przechodzili prawdziwi wspinacze. Było tam coś w rodzaju małej groty. Gdy oni nadeszli, siedzieliśmy w jamie z naszą liną i udawaliśmy, że też jesteśmy wspinaczami. Pytamy ich: „Jak leci?”, a oni na to: „Co wy, do diabła, robicie?”. My na to: „Jak to? Jesteśmy wspinaczami!”. Tak wyglądała moja pierwsza wspinaczka.

Rok później poszedłem na wspinanie z przewodnikiem, który nauczył mnie podstaw, pokazał węzły i metody asekuracji. Trwało to jeden dzień i to było wszystko. Od tamtej pory wspinam się cały czas. Nigdy nie przestałem.

AO: A jeśli chodzi o twoją pierwszą poważną wspinaczkę? Co to było?

MS: Pewnie moja pierwsza podróż do Yosemite. Miałem wtedy chyba 18 lat. Pamiętam kilka zabawnych historii z tamtego wyjazdu. Gdy dotarliśmy na miejsce, spotkaliśmy gości, którzy nazywali siebie „piratami skalnymi”. Nosili bandany i opaski na oczy, mówili jak piraci, w ogóle byli to naprawdę dziwaczni ludzie. Tak jakoś wyszło, że wzięli nas pod swoje skrzydła. Przyjechaliśmy na miejsce - samo dotarcie do celu jest już tematem na długą i jedną

z najbardziej szalonych opowieści i tak naprawdę nie wiedzieliśmy co robić, nie mieliśmy pieniędzy, więc ci goście pokazali nam gdzie są jaskinie, w których możemy się ukryć, żeby nie płacić za pobyt. Powiedzieli nam też jak unikać filanców. Oświadczyliśmy, że przyjechaliliśmy robić wspinaczki wielkościanowe i zapytaliśmy o jakąś drogę dobrą na rozgrzewkę. Powiedzieli nam, żeby zrobić North Buttress Direct (DNB) na Middle Cathedral.

AO: To byli doświadczeni wspinacze?

MS: Tak, mieli trochę doświadczenia, ale wtedy myśleliśmy, że są bogami. Teraz sobie uświadamiam, że nimi nie byli. Powiedzieli nam, żeby zrobić DNB na Middle Cathedral. Droga ma 17 wyciągów, wycenę 5.10. Jest to wspinaczka klasyczna i nieco trudna, zwłaszcza dla początkujących. Nikt nie poszedłby na nią jako na swoją pierwszą drogę, ale „piraci” stwierdzili, że będzie w sam raz dla nas. Pytaliśmy, czy aby na pewno, na co usłyszeliśmy, że w połowie drogi jest super półka i wszystko będzie OK. Mielśmy taki wojskowy worek na bogaże, włożyliśmy do niego nasze grały i szpeje, ale nie wiedzieliśmy, że powinniśmy zabezpieczyć go od środka. Worek szorował o skały podczas przeciągania, zrobiła się w nim dziura i wypadły kości.

Wspinaczka była dla nas naprawdę trudna, ciężko było znaleźć przebieg drogi. Gdy dotarliśmy do miejsca, w którym miała być super półka, okazało się, że to jakaś lipa, nie było tam żadnej półki. Znaleźliśmy jakiś kawałek miejsca, gdzie spędziliśmy noc. W części szczytowej ściana się pochyla. Rankiem, kiedy to zobaczyliśmy, stwierdziliśmy, że jesteśmy już na szczycie. Mielśmy ze sobą wodę w butelkach, ale uznaliśmy, że już nam nie będzie potrzebna i je opróżniliśmy. Zrobiliśmy jeden wyciąg, spojrzeliśmy w górę i okazało się, że przed nami jeszcze kawał ściany, więcej niż myśleliśmy. Ale zrobiliśmy tę drogę. Byliśmy po prostu młodzi i głupi, wspinaliśmy się przez całą noc i następny dzień. Nie piliśmy od prawie 24 godzin. Gdy zeszliśmy na dół, na kemp, „piraci skalni” zapytali nas: „Gdzie, u diabła, byliście?” Powiedzieliśmy: „Na DNB - poleciliśmy nam tę drogę.” Oni na to: „Zrobiliście ją?”. Odpowiedzieliśmy, że tak.

AO: I wtedy wy staliście się dla nich bogami.

MS: „Piraci” nie mogli w to uwierzyć. Zrobiliśmy wielką imprezę, wypiliśmy mnóstwo alkoholu, ale w ogóle nie piliśmy wody. Nieźle nas znużyło, więc poszliśmy do naszej jaskini. Byliśmy poważnie odwodnieni. Obudziliśmy się w grocie i było z nami tak źle, że nie mogliśmy się podnieść. Leżeliśmy, jęcząc, że chcemy się napić wody. Mój kumpel mamrzał, że zaraz umrze. Wyczołgałem się więc na zewnątrz i przyniosłem mu wodę.

Każda nasza wspinaczka była epopeją, ale ostatecznie udało nam się też przejść pn.-zach. ścianę Half Dome. To było coś. Prawdziwa big wallowa VI. Taki był mój pierwszy sezon. To był początek.

A0: Później wspinaleś się dużo na El Capie. Kiedy właściwie stałeś się wytrenowanym, dobrze przygotowanym wspinaczem i zacząłeś robić trudne drogi na El Capie?

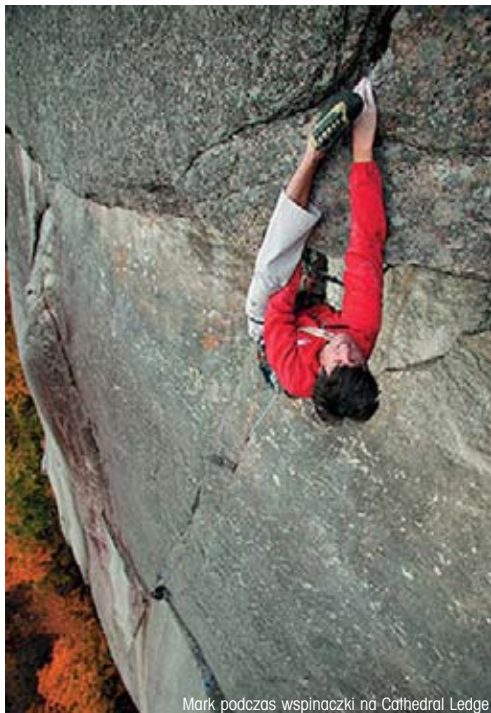
MS: W następnym roku przeszliśmy El Capa. Rok po tym zrobiliśmy Salathe Wall. To było dla nas ważne, żeby...

A0: Już w następnym roku?

MS: Tak. To było dla nas ważne, żeby być wspinaczami z El Capa. Tego chcieliśmy, bo „piraci skalni” byli właśnie takimi wspinaczami. Zawsze mówili: „My, wspinacze z El Capa”. My na to: „Właśnie”. A oni: „Nie, nie wy”. Chcieliśmy być w tym klubie, więc rok później zrobiliśmy Salathe Wall. Od tamtej pory podnosiłem poziom. W następnym roku - 1994 - znów zrobiłem ciut więcej. W 1993 roku skończyłem college i powiedziałem sobie, że zostanę wspinaczem, że to jest właśnie to, że właśnie to chcę robić. Będę mieszkał w swojej jaskini w Yosemite i chcę tylko wspiąć się. Nie zależy mi na pracy i tego typu sprawach. Nie chciałem robić kariery ani podejmować pracy z prawdziwego zdarzenia, bo chciałem się wspiąć. Tak więc w 1994 roku wspinalem się bardzo dużo i zrobiłem mnóstwo dróg. Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy pojawił się pomysł zrobienia czegoś trudniejszego. Zrobiłem drogę South Seas, która biegnie przez ten naprawdę duży okap i łączy się do Pacific Ocean Wall. Zrobiłem także nową drogę w Boogaboos, na zachodniej ścianie Northouser - największego urwiska w Parku Narodowym Boogaboos (ściana ta ma ok. 1000 metrów wysokości). Ponadto trochę wspinaczek w Parku Narodowym Zion. W tym samym roku 1994, w magazynie „Climbing”, ukazał się artykuł o Ziemi Baffina ilustrowany zdjęciami tamtejszych urwisk w fiordach. Polar Sun Spire był jednym z tych urwisk. Siedziałem wtedy w kafejce w Yosemite i gdy zobaczyłem to zdjęcie, stwierdziłem, że to jest właśnie to, czego szukałem. Jadę tam! Przeliczyłem swoje fundusze, których tak naprawdę prawie nie miałem, ponieważ nie pracowałem zbyt wiele. Po prostu się wspinalem, mieszkając w samochodzie i w jaskini. Unikałem pracy i wspinalem się tyle, ile się dało. Pewnego razu byłem w Colorado. Zostawiłem samochód na parkingu i poszedłem w góry. Wróciłem rano. Droga była oblodzona i dwóch gości próbując ruszyć swoim samochodem, straciło nad nim panowanie. Wpadli w poślizg i uderzyli w moje Subaru. Okazali się uczciwymi ludźmi - zostawili na moim samochodzie kartkę z przeprosinami i prośbą o kontakt, żeby mogli zatańczyć sprawę z firmą ubezpieczeniową. W ten sposób dostałem 3 tysiące dolarów odszkodowania, a mój tata stwierdził, że mogę naprawić swoje Subaru. Nie zrobiłem tego, bo auto nadal jeździło, choć było całe powgniatane. Wziąłem pieniądze i pojechałem na Ziemię Baffina. I wtedy mój kumpel...

A0: Który to był rok?

MS: Działo się to w 1995 roku. Mój kumpel Simon był tak zawistny, że też pojechał w to samo miejsce do Colorado,



Mark podczas wspinaczki na Cathedral Ledge



Kolacja w ścianie Half Dome

parkował swój samochód na tym samym parkingu przez 3 tygodnie z rzędu w nadziei, że ktoś w nie też uderzy. Bardzo chciał jechać z nami, ale nie miał pieniędzy. Dowiedział się jak zdobyłem pieniądze i próbował zastosować ten sam sposób. Jeździł tam w każdy weekend i czekał na stłuczkę!!!

AO: Więc to była twoja podróż razem z Warrenem Holingerem?

MS: Tak, pierwsza podróż.

AO: To była ta, którą nam opisałeś (opowiadanie pt. „Polar Sun Spire” w AO nr 1(5)/2003)

MS: Nie, tamta podróż miała miejsce rok później.

AO: Rozumiem.

MS: Tak więc pojechaliśmy tam i dotarliśmy do bazy pod Polar Sun Spire. Byliśmy naiwni - to jest północna ściana i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nigdy nawet nie myśleliśmy o wspinaniu tego typu. Z bliska ściana robiła "trochę" przerażające wrażenie. Była ogromna, miejscami pokryta śniegiem. Wyglądało to na naprawdę mocną rzecz. Było cholernie zimno. Po drugiej stronie fiordu znajdowała się ściana z wystawą południową - Great Cross Pillar. Obejrzeliśmy ją i stwierdziliśmy, że wygląda przyzwoicie. Postanowiliśmy wspiąć się na niej zamiast na Polar Sun Spire. W ten sposób przeszliśmy Great Cross Pillar.

AO: Ile to było wyciągów? Piętnaście?

MS: Myślę, że szesnaście. Zrobiliśmy to. Zrobiliśmy trudną drogę.

AO: Czy to była nowa droga?

MS: Tak, to była nowa droga. Nikt przed nami nie wspiął się tym urwiskiem aż do szczytu. Pociągnęliśmy ją, bo byliśmy bardzo młodzi, chcieliśmy się sprawdzić. Były tam naprawdę trudne miejsca hakowe - zakładałem haki nie widząc nawet, na czym je opieram - i inne podobne historie. Rzeczy, których nie zrobilibym teraz. Wtedy chcieliśmy zrobić trudną drogę. I patrząc z perspektywy, to była trudna droga.

AO: To było A4?

MS: Zdaje się, że wyceniliśmy to na A3, może A4, nie pamiętam. Prawdopodobnie A4.

AO: Chodzi o drogę Crossfire.

MS: Tak, A4. Jest tam parę przerażających momentów. Miejsc, w których robiliśmy mnóstwo kolejnych ruchów na hakach. Używaliśmy copperheadów nr 1. Warren był także bardzo zmotywowany, żeby przejść coś trudnego. Zrobiliśmy więc tę drogę, a potem

następną - na ścianie Turret. Wspięliśmy się nią kawałek, zamocowaliśmy poręczówki w dolnej części, a potem było 40 godzin akcji non stop. 30 godzin do góry i 10 godzin zejścia. Tak naprawdę, to przed drogą na Turret spróbowaliśmy wspinania na Polar Sun Spire, ale nie urobiliśmy dużo terenu. Jakies 700 stóp (ciut ponad 200 metrów). Dotarliśmy do półki na tej właśnie wysokości i dopiero wtedy zobaczyliśmy, jak ogromna jest ściana. Na zdjęciu odcinek ten wyglądał na długość jednego wyciągu. W rzeczywistości były to 4 wyciągi. Zobaczywszy, jaka jest skala, narobiliśmy w portki i uciekliśmy na dół.

AO: Ta ściana jest aż tak wielka?

MS: Tak. Mierzysz sobie 5 tys. stóp (ok. 1500 metrów). Dokonaliśmy pomiarów z National Geographic. Wybiegnę trochę w przyszłość i powiem parę słów na ten temat. Ściana wyglądała na jedną z największych w okolicy, ale wtedy, w 1996 roku, gdy poprowadziliśmy na niej drogę, z naszej wiedzy wynikało, że największą kiedykolwiek zdobytą ścianą była wschodnia ściana Great Trango Tower. Chodzi o drogę Grand Voyage. O ile pamiętam, ustalono jej wysokość na 4400 stóp (1300 metrów z małym okładem). Nie chcieliśmy twierdzić, że „nasza” ściana jest większa, chociaż to prawda, więc podaliśmy, że Polar Sun Spire ma 4300 stóp, bo chcieliśmy być skromni. Na szczycie nasze altimetry pokazały 5 tys. stóp - pomyśleliśmy, że to niemożliwe i że urządzenia muszą być uszkodzone. Później powróciłem jednak z National Geographic, dokonaliśmy pomiarów i potwierdziło się, że ściana ma 5 tys. stóp wysokości.

Ale wróćmy do rzeczy. Weszliśmy w ścianę Polar Sun Spire, dotarliśmy do półki, o której wspominałem, i zdaliśmy sobie sprawę, że dalej nie damy rady.

Pamiętam, jak siedząc na tej półce, obserwowaliśmy dalszy przebieg drogi - rysę biegnącą przez środek przewieszenia. Podziwialiśmy piękno tej formacji. To wspaniała linia. Wycofaliśmy się z postanowieniem, że wrócimy tam za rok.

AO: Czy ściana nad półką jest w całości przewieszona?

MS: Tak. To duże, całkowite przewieszenie.

AO: A co z drogami poza terenem przewieszonym?

MS: Tu nie ma żadnych dróg, ale teren również staje dęba.

AO: Zatem w roku 1995 dokonaliście pierwszej próby. Następna miała miejsce w roku 1996.

MS: W 1996 r. wróciliśmy i przeszliśmy tę drogę. Było wtedy zimno, bardzo zimno. Ściana ma północną wystawę i trafiłszy na złą pogodę - tak było przez pierwsze dwa tygodnie wspinaczki. Nękały nas burze i brak słońca. Było to bardzo trudne psychologicznie. Wspinaczka zajęła nam tak dużo czasu, ponieważ siedzieliśmy na półce skalnej i czekaliśmy na poprawę warunków. Cały czas padał śnieg, ale myśleliśmy, że przeczekamy. W końcu dotarło do nas, że pogoda po prostu się nie poprawi i musimy napierać dalej. Ponieważ 24 h na dobę było jasno,

M
A
R
K
S
Y
N
N
O
T
T



Biwak w ścianie Great Trango Tower

wyglądało to tak, że robiliśmy jeden wyciąg, zjeżdżaliśmy na półkę i po prostu leżeliśmy na niej całymi dniami. Żeby zrobić trudny wyciąg hakowy w dupówie, trzeba zebrać naprawdę dużo sprzętu. A ten z nas, na kogo przypadło prowadzenie, robił co mógł, żeby odwiec moment startu. Raz kogoś bolały łokcie, innym razem ktoś ogólnie nie czuł się dobrze i inne podobne wymówki. W końcu jednak stwierdzaliśmy, że trzeba wyjść na zewnątrz i wziąć się do roboty. Nie mieliśmy rekordowego tempa, w ogóle o to nie dbaliśmy.

AO: Ale w takim razie potrzebowaliście furi ekwipunku.

MS: Potrzebowaliśmy wody, jedzenia i paliwa.

AO: Właśnie, jedzenia i paliwa.

MS: Przywieźliśmy je ze sobą. Kiedy obejrzeliśmy urwisko, nie wiedząc jeszcze w co się pakujemy, oceniliśmy, że na niego pokonanie będziemy potrzebowali 30 dni, zatem spakowaliśmy jedzenia tyle, ile uznaliśmy za potrzebne na miesiąc. W trakcie wspinania zdaliśmy sobie sprawę, że idzie nam znacznie wolniej, niż myśleliśmy i że nie mamy wystarczających zapasów paliwa. Związaliśmy razem wszystkie liny, które mieliśmy ze sobą, i rzuciliśmy je do zjazdu. Dotknęły podstawy; na dół było ok. 500 metrów. To była nasza ostatnia szansa: wrócić do obozu, zabrać nowy zapas paliwa, trochę jedzenia i inny potrzebny sprzęt, a potem wbić się znowu w ścianę. Mieliśmy 5 galonów benzyny.

AO: Czyli...

MS: Ponad 20 litrów. Używaliśmy maszyny do gotowania do tego, aby ogrzać namiot.

AO: Co się świetnie sprawdza.

MS: Tak, było bardzo przyjemnie. Na zewnątrz lodownia, a my włączaliśmy maszynkę, zamykaliśmy namiot i siedzieliśmy w samej bieliźnie.

AO: Domyślam się, że powietrze robiło się „ciężkie” -;-)

MS: Tak, pojawiał się smrodek. W ogóle działo się mnóstwo różnych, dziwnych rzeczy... W swoim opowiadaniu w jednym z magazynów wspinaczkowych wspominałem o tym, np. o wymyślnym piesku Cinci, który mieszkał w moim śpiworze...;-)

AO: Więc mieliście 22 galony paliwa i cały zapas wody, ponieważ...

MS: Nie, to właśnie paliwo zapewniało wodę. Wodę mieliśmy na półkach w postaci śniegu i lodu. Przetopienie sekcji przewieszanej zajęło nam dwa tygodnie. Na takiej małej półeczce przygotowaliśmy zapas wody - 27 galonów, wlaaliśmy ją do butelek po Coli. Pierwszej nocy woda zamarzła i mieliśmy problem - nie mogliśmy po prostu pociąć butelek, bo potrzebowaliśmy ich nadal, w dalszej części drogi. Byliśmy dopiero w połowie ściany. Wydłubujemy więc nożem trochę lodu, podgrzewaliśmy i gorącą wodę wlewaliśmy do butelki aby natopić resztę lodu. Potem podgrzewaliśmy to co się stopiło i znowu wlewaliśmy do butelki. I tak w koło Macieju. Dlatego, między innymi, wspinaczka trwała tak długo.

Ale zawzięliśmy się i naprawdę chcieliśmy skrócić drogę.

AO: A jak wyglądało holowanie bagażu? Jakie stosowaliście patenty? Przede wszystkim, jakich worów używaliście? Haulbagów?

MS: Mieliśmy kilka haulbagów firmy A5, która była naszym sponsorem. Mieliśmy ponadto prototypowy portaledge Black Diamond. To był wtedy zupełnie nowy model. U dotu miał podczepiany hamak. John Middendorf zrobił specjalnie dla nas tropik do namiotu. Wykonany z goretexu był niewiarygodnie wytrzymały. Czasem z góry spadały kamienie, niektóre całkiem spore, i uderzały w tropik, po czym odbijały się od niego. Mieliśmy 5 haulbagów i stosowaliśmy przeciwwagę, czasem trzeba było do tego dwóch osób. Ogólnie rzecz biorąc wiąźaliśmy razem wszystkie haulbagi, bo było duże przewieszenie, i robiąc przeciwwagę we trzech matpowaliśmy.

AO: Więc jeden z was tak naprawdę był przy worach?

MS: Jeden z nas był na stanowisku, ciągnąc, trzeci był na dole, żeby w razie czego odczepiać ładunek, a drugi matpował pomiędzy. Czasem mieliśmy wiele lin powiązanych razem, ale ciągnęliśmy wszystko jednocześnie i nierzaz trzeba było przeciągać węzeł przez bloczek. Raz mieliśmy stan, na którym było kilka punktów jednocześnie, na pięli. Do tego były 2 niezakręcane karabinki ustawione przeciwstawnie. Siła działająca na stan była tak wielka, nie wiem dlaczego, że jeden z karabinków otworzył się i wygiął. Rozumiesz - wszystko co mieliśmy, cały ten bajzel, zawisł na jednym niezakręcanym karabinku. Tego już było za wiele.

AO: Ten, kto był akurat wtedy wpięty do stanowiska musiał mieć niezłego pietra?

MS: To byłem ja. Widziałem ten karabinek. Nigdy przedtem nie spotkałem się z czymś takim. Po prostu się rozgiął i otworzył. Zadziałała na niego zbyt duża siła.

AO: Abstrahując od holowania, dużo osadziliście spitów? Używaliście wiertarki?

MS: Używaliśmy ręcznej spitownicy. Powiedziałbym, że biorąc pod uwagę, jak długa była to droga - a była to droga w typie Yosemite, bardzo „cienka” - to w większości przypadków osadzaliśmy spity tylko na stanowiskach.

AO: Jak dużo przypadało ich na stanowisko?

M A R K S Y N O T

MS: Zazwyczaj dwa. Czasami zdarzało się „wiszący” biwak i wtedy osadzaliśmy więcej spitów. Były też fragmenty, gdzie instalowaliśmy niemalże „drabiny” z rivetów - były to zupełnie gładkie fragmenty. W dolnej części ściany w zasadzie nie wbijaliśmy spitów, wyżej zostawiliśmy ich trochę, a w części szczytowej znowu niewiele.

AO: Nawet na stanowiskach?

MS: Nie używaliśmy zbyt wielu spitów w końcowej części drogi. Były tam doskonałe rysy.

AO: Jakiego rodzaju sprzętu używaliście podczas przejścia?

MS: Mieliśmy typowy zestaw sprzętu, całe tony haków, kości, stoperów. Na tej drodze zainstalowaliśmy więcej spitów, niż na jakiegokolwiek innej, którą zrobłem.

AO: Jeśli mieliście wywiercić otwór, osadzaliście riveta, a nie bathooka?

MS: Czasem używaliśmy bathoków, ale nie za wiele. Teren był tak przewieszony, że jeśli użyło się bathooka, można było wejść tylko na trzeci stopień w tawach. Na drugi albo pierwszy stopień było już za stromo - hak wypadłby. Użycie rivetów pozwalało za to na korzystanie z pierwszego stopnia, można była wyżej sięgnąć. W konsekwencji nie trzeba wiercić aż tylu otworów, bo ma się większy wysięg. Tak to wyglądało.

Próbowaliśmy to zminimalizować na tyle, na ile mogliśmy, ale niektóre fragmenty skały były gładkie. Tam je instalowaliśmy. Taka wspinaczka bardzo mi wtedy odpowiadała - chciałem żeby była jak najbardziej ryzykowna. Założyliśmy ponad sto copperheadów, całe tony....

AO: O co chodziło z tą Twoją polityką, że nie wiercisz, jeśli możesz osadzić jedynek copperheada?

MS: Tak, tak właśnie zawsze to robiłem i pamiętam jedno miejsce, gdzie mogłem coś osadzić, ale wywierciłem riveta. Zawsze będę to pamiętał, bo wiedziałem, że była tam możliwość osadzenia copperheada, ale się zdenerwowałem, bo pod spodem miałem też riveta. To było takie miejsce, taki wafel odklejony od skały i w niego wbiłem riveta... to było jak wiercenie w czymś bardzo płytkim. Bałem się, że jak polecę, to urwę ten wafel. No więc wbiłem kolejnego riveta, i to było to jedyne miejsce, o którym wiem, że mogłem tego uniknąć. Mogłem włożyć coś naprawdę głównianego, ale dałem riveta.

Muszę powiedzieć, że Warren napierał naprawdę ostro na swoich wyciągach, ale Jeff, parę razy, wbił rivety, które moim zdaniem były niepotrzebne. Coś mu nawet powiedziałem, bo np. wbił jednego tylko po to, żeby utrzymać linę z daleka od wafła. Uważałem, że nie było to potrzebne, więc mu o tym powiedziałem, i on się naprawdę wkurzył. No i pokłóciliśmy się.

AO: Jak Jeff ma na nazwisko?

MS: Chapman. Używacie repów, nie? Prowadzący bierze tylko część szpeju a resztę sobie dociąga. Najmilszą rzeczą było, gdy gość miał prowadzić wyciąg prosto z portaledge'a, a ty mogłeś sobie leżeć w spiworze

i relaksować się wydając linę z Gri-gri. Czasami Warren i ja popijaliśmy sobie sznapsa i było naprawdę miło, z tym, że Warren wprowadził zasadę, że prowadzący ma ograniczoną liczbę repowań.

AO: Dlaczego?

MS: Dlatego że taką wprowadził zasadę. Masz 2 repowania i tyle. Więc należało naprawdę dobrze przewidywać, czego się potrzebuje i brać zazwyczaj wszystko w danym typie. Ale Jeff robił inaczej, bo nie lubił się obciążać. Wołał więc: „Przyslijcie mi jeden hak”, my podsyłamy, a on po chwili: „Nie, sorry, to nie ten rozmiar, dajcie mniejszy”. I znowu, za 2 minuty: „Przyslijcie czwórkę” - więc Warren się wkurzył i woła:

„To twój ostatni rep i koniec!”. A ponieważ był już lekko nawalony od tego sznapsa, to zawiesił wszystko, co miał, wszystkie te wielgachne haczyki i wystął. Na to Jeff się wnerwił, wziął tylko to, czego potrzebował, a resztę odesłał w dół. Ale za chwilę znowu woła: „Dajcie...” coś tam. My tu sobie leżymy w śpiwórkach, relaksujemy się, więc Warren na to: „Sorry kolego, koniec. Nie ma więcej repowania!”

AO: Naprawdę tak zrobił

MS: Naprawdę.

AO: A co Jeff na to?

MS: Strasznie się wkurzył, no ale nic nie mógł zrobić. Musiał sobie poradzić sam.

AO: Zatem najpierw założyliście obóz, a potem działaliście w stylu „kapsutowym”?

MS: Tak.

AO: Rozumiem. To było w roku 1996. Kiedy zrobiliście w takim razie Recticent Wall?

MS: Zdaje się, że Recticent Wall zrobiłem w 1997 roku.

AO: Rok później?

MS: Tak, rok później. Zimą spędziłem miesiąc w Canadian Rockies, wspinając się na lodospadach, a potem planowałem jechać do Pakistanu na Shipton Spire, więc wybrałem się najpierw do Yosemite i ćwiczyłem tam przez dłuższy czas.

AO: To wtedy poznałeś Kevina?

MS: Tak. Kevina znalazłem wprawdzie już wcześniej, ale dopiero wtedy zaczęliśmy się wspinać razem. Zrobiliśmy drogę Lost in America w stylu non stop, w ciągu 24 godzin. Naprawdę zależało nam na szybkości. To była całkiem trudna wspinaczka hakowa. Właśnie prowadziłem wyciąg, tymczasem nad nami kilkudniowy „piknik” w portaledgu urządziły sobie jakieś dzieciaki. Dotarłem do miejsca, gdzie była odstrzelona pętla, obejrzałem ją i pomyślałem, że u góry pętla będzie dobre miejsce na skyhook. Przedtem jednak ją opukałem i stwierdziłem, że nie jest stabilna. Jeden z tych dzieciaków przyglądał mi się z portaledga i powiedział: „Wieszaj śmiało. Ja tak zrobiłem i było OK.”



Dwójka na stanowisku. Autor (po lewej) i Jared Ogden - Great Trango Tower

Poszedłem za jego radą i zawiesiłem hooka. Po chwili pętla oderwała się.

AO: Cała pętla?

MS: Tak. Kevin asekurował mnie wtedy z Gri-gri i jak to często bywa, gdy się wspina szybko i asekurowe z tego przyrzędu, dał mi spory luz. Poprzedni przełot miałem bardzo blisko, na wysokości kostek, ale gruchnąłem jakieś 20 stóp. Walnąłem w półkę poniżej, poczułem ból w nodze i choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, złamałem stopę. Podeszedłem z powrotem do góry i dokończyłem wyciąg. Wspinałem się hakowo używając jednej nogi, drugą po prostu wlokłem za sobą. Wspinaliśmy się dalej, poprowadziłem jeszcze trzy czy cztery wyciągi z tą złamaną nogą i w rezultacie dokonaliśmy najszybszego przejścia. To było po zrobieniu Recticent Wall.

AO: Tak przy okazji - mówiłeś o asekuracji z Gri-gri. Jednak stosując ten przyrząd nie można uzyskać dynamicznej asekuracji; kiedy ktoś odpada, Gri-gri po prostu blokuje linę i nie można wydać ani odrobiny luzu. Na drogach, na których jest delikatna asekuracja, Gri-gri nie jest dobrym rozwiązaniem, chyba że stosujesz przełoty z absorberami energii. Jakie jest twoje zdanie?

MS: Asekuracja z Gri-gri jest całkowicie statyczna, gdy asekurowujący ma napięte auto na stanowisku. Jeśli jego autoasekuracja jest luźna, po wyłapaniu lotu, gdy Gri-gri zablokuje linę, zostanie szarpnięty do góry - nie jest to więc całkowicie statyczna asekuracja. W zasadzie masz rację, ale używamy Gri-gri, ponieważ bardzo ciężko jest cały czas trzymać linę w rękach podczas asekurowania, szczególnie gdy trzeba jeszcze wykonywać różne czynności na stanowisku. W tej sytuacji korzystanie z tradycyjnego przyrzędu jest prawdopodobnie tak samo niebezpieczne. Pojawia się ryzyko, że w przypadku lotu można całkowicie utracić kontrolę nad liną.

AO: Rozumiem.

MS: Wszyscy wspinacze w Ameryce używają Gri-gri, to bardzo popularny przyrząd.



Mark pod ścianą Kedar Dome

M A R K S Y N N O T T

AO: Przed drogą Lost in America zrobiłeś Reticent Wall. To było drugie przejście. Możesz przypomnieć, kto był jej autorem? Mówiłeś wcześniej, że to jakiś wysoki gość.

MS: Steve Gerberding.

AO: On ma w swoim dorobku chyba wszystkie drogi na El Capite?

MS: Tak, zrobił ich sto, może nawet nieco ponad sto.

AO: Naprawdę jest taki wysoki? Opowiedz raz jeszcze tę historię o kluczowym miejscu na Reticent Wall. Historię tej Sylvi.

MS: Nikt nie chciał powtarzać tej drogi właśnie z powodu kluczowego wyciągu, który został wyceniony na modernistyczne A5 i był tak naprawdę jedynym wyciągiem o tej wycenie. Gerberding był bardzo konserwatywny i wszyscy myśleli, że skoro wycenił ten wyciąg na A5, to musi to być naprawdę poważna sprawa. Chodziło o miejsce, gdzie skała się wybrzuszała i następowało długie sięgnięcie. Ludzie nie chcieli powtarzać tej drogi, bo Gerberding opowiadał, że ma 6,2 stopy wzrostu i żeby przeloić ten fragment, musiał się maksymalnie wyciągnąć stojąc na najwyższym stopniu drabinki. Po Camp 4 krążyła więc fama, że ta droga nie jest dla niskich zawodników. W końcu jednak zebraliśmy odpowiednią porcję psyche...

AO: Ta decyzja była dla ciebie trudna?

MS: Tak, ale nie było mi aż tak ciężko, bo Kevin powiedział, że poprowadzi wyciąg A5.

AO: Kevin jest wysoki?

MS: Nie jest bardzo wysoki, ale jest bardzo pewny siebie i odważny. Przypomina mi się pewna wspinaczka w piachach, gdy Kevin próbował on sightem zrobić jeden z wyciągów... Poleciał wtedy około 50 stóp...

AO: Nieźle.

MS: Tak więc Kevin zadeklarował się poprowadzić wyciąg A5. W czasie wspinaczki martwiłem się co by było, gdyby Kevinowi coś się stało, czy dałbym radę pokonać kluczowy wyciąg. Ta myśl mnie dręczyła, bo lot w tym miejscu był groźny, skończyłby się uderzeniem o skałę. Bardzo podziwiam autora drogi, Gerberdinga.

c.d.n.

Jak zostałem alpinistą c.d.

Decydujące starcie

Kursant

Niezapomniane lato A.D. 871 Lato STU godzin! Stu najważniejszych mi w świecie godzin, abym mógł z nędznego surogatu stać się alpinistą tout court. Aby pojechać w Alpy musiałem być taternikiem samodzielnym. Aby zdawać na samodzielnego - musiałem mieć wywspianane 100 przewodnikowych godzin. I musiałem zaliczyć zimowy kurs...

Dzień w dzień cierpliwie wydeptywałem ścieżki na podejściach a mój kapownik powoli zapępniał się tak pożądanymi numerkami. Gdzieżby tam piękno lub trudności decydować miały o moich wyborach! Co to - to nie! Jedynym kryterium były GODZINY! Oby jak najwięcej i oby jak najłatwiej. Powoli, zbliżałem się do upragnionej setki, lecz wtedy w Tatrach zagościły ulewę.

Gdy wreszcie zaczęło przeświecać wrześnie słońce, wiedziałem, że muszę się spieszyć. Miałem 72 godziny i zaledwie parę dni na likwidację deficytu. Jak ołśnienie wpadł mi wtedy do głowy pomysł grani Moka. 23 godziny - prawdziwy skarb! Namówiłem kursowego kolegę TS i na lekko, bez sprzętu biwakowego, wyruszyliśmy w drogę. Wszystko szło całkiem fajnie do momentu kibla. Pety optymizmu zasiadłem na kamieniu owinięty w foliowy płaszczyk. I wtedy, ku mojemu zdumieniu, TS wykitnął ze swego wora puchową kurtkę wielkości wagonu kolejowego i spokojnie się w nią owinąwszy zapadł w sen sprawiedliwego. Byłem zdruzgotany. Świadomość, że mój partner ma ciepło, podczas gdy ja marznę, wprawiła mnie w drgawki, z których nie wyszedłem aż do rana. Kompletnie wykończony i zziębnięty doczekałem brzasku, i natychmiast obudziłem TS.

- Wstawaj - tarmosiłem go - zimno jak cholera, ruszajmy!

- Dobraaaa - ziewnął - ale z tym zimnem to nie przesadzaj...

W każdym razie grań padła, lecz była to już ostatnia droga. Nic więcej nie udało się załoić. W szarym zeszyciku licznik stanął na liczbie 95...

*

- 95 powiadasz Pan? - wzruszył ramionami TK - No to co to za problem?

- No jak to, kurde - zdenerwowałem się - ma być 100!

- Może ci zaliczą?

- W komisji siedzi RK, coś czuję, że nie zaliczą. Ale wiesz, a co sądzisz jakbym tak sobie 2 drogi dopisał? Sprawdzą to?

- Hm - zasepił się TK - raczej nie. Ale zapytać mogą. Więc jak chcesz dopisywać, to dopisz takie, które bardzo dobrze znasz, albo takie kompletnie ewidentne.

- To znaczy jakie?

- No na przykład ... Lewych Wrześnieików robisz?

- Nie.

- No widzisz. No to robisz.

- Fakt - ucieszyłem się - przecież zrobię to na pewno w przyszłym roku, czyli w zasadzie to jakbym już zrobił.

- Dorzuć jeszcze coś i po ptakach.

- Może Komarnickich? Robiłem Prawych Wrześnieików, to wiem jak idą.

- Może być. To razem ile?

- Pięć i pół. Wszystko gra.

- No widzisz. Przy wspinaniu trzeba myśleć, kursant! Myśleć!

*

Protektor mój i obrońca TK ponownie nie zostawił mnie w potrzebie i załatwił zimowy kurs na Betlejemce. Tym razem K i ja mieliśmy stanowić zespół. TK, nasz instruktor, oczekiwał nas na Hali. Nie będąc w ciemii bici, K i ja postanowiliśmy wjechać ostatnią kolejką na Kasprowy i zjechać w dół na nartach. Śmierć frajerom! Paru innych kursantów z zazdrością spoglądało na nas w Kuźnicach, sami szykując się do katorżniczego marszu przez Boczań. A my - jak cywilizowani ludzie - po chwili mknęliśmy kolejką na nieodległy już wierzchołek.

Kasprowy powitał nas mgłą i opadem śniegu. Nic to - zapięliśmy narty i zarzuciliśmy wory na plecy. Pierwsze wory, bo drugie zamierzaliśmy zarzucić od przodka. Gdy schyliłem się po tegoż nagle okrutny ciężar janiowego stelażowca przygwoździł mnie do ziemi wciskając japę w śnieg!

- Eeee - zastękałem, bo ledwo dech mogłem złapać. K, nieświadom całego nieszczęścia zmagając się ze swoim worem, a ja tymczasem siniałem z wysiłku unieruchomiony w płataninie nart, kijków i dwóch plecaków. Na szczęście kątem oka zobaczyłem nadbiegające buty.

- Was ist loss? - usłyszałem.

- Hilfe - wystękałem odkładając na bok moją wysaną z mlekiem matki niechęć do Teutonów.

- Ein minute bitte - powiedział dobry ten człowiek i przeraźliwym wrzaskiem poczęł przyzywać swoich ziomków.

Jakoż i unieśli mnie troszeczkę, tak że głowę wydobylem z zasy i mogłem spojrzeć w ich stronę. Wtedy puścili mnie i padłem ponownie.

- Co jest do cholery!? - wrzasnąłem, ale protest mój zlał się z trzaskiem strzelających migawek i błyskających fleszy. Po chwili cała gawiedź zanosiła się już jednym cholernym, szwabskim rykiem, a tłuste ich paluchy celowały wprost we mnie:

- Polnische bergsteiger, ha ha ha ha!!!!

Na szczęście K nadszedł z odsieczą i obdarzywszy Krzyżaków niezawodnym:

- Fuck Off! - pomógł mi wreszcie stanąć na nogi.

Ja też nie pozostałem dłużny i postąłem im bardzo złe spojrzenie, w wyniku czego zawinęli się na piętach i oddalili ku ostatniej kolejce.

Tymczasem zaczęło się ściemniać. K jakoś załadował na siebie drugi worek, ale ja za cholerę nie mogłem wcisnąć mojej horolezki. Co gorsza, nie byłem w stanie zapanować nad głównym worem, i w rezultacie postanowiłem porzucić go jako depozyt. Na szczęście pojawił się wówczas pewien dobry samarytanin i zaoferował nam pomoc w postaci zwiezienia mojego wora. Pomoc została z wdzięcznością (choć bez wylewności) przyjęta i ruszyliśmy szusem w dół. To znaczy ruszyli oni, natomiast - ku memu pełnemu zdumieniu - okazało się, że ja nie umiem jeździć na nartach! Ki czort! - kłąłem. Przecież to prosta sprawa, ale nijak nie mogłem wykonać zakrętu, a postaci moich towarzyszy szybko ginęły we mgle. Nie było rady: rozped, potem efektowne salto, zmiana kierunku i od nowa. Na szczęście śnieg był głęboki, a stok pusty.

Za kolejnym razem natknąłem się na samarytanina:

- Mam dość - wysapał - kręgosłup mi siada - po czym odstawił wór na śnieg i tyle go widziałem.

No cóż - depozyt jednak założyliśmy. K dorzucił swoją horolezkę i gdy już zabieraliśmy się do odjazdu zapytał:

- Ty, a gdzie twój czekan?

- No jak to - zachnąłem się - tutaj...

Jednak „tutaj” go nie było. Wspaniały, zielony czekan Makalu Sport powinien był wisieć przy mojej horolezce, ale nie wisiał. Widać salta zrobiły swojej! Cóż to był za cios tego opisać nie potrafię. Na kurs bez czekana! Wypiąłem narty i z płaczem rzuciłem się w górę stoku.

- Wracaj, jutro poszukasz - przekonywał mnie K i w końcu musiałem się poddać. Tak czy owak - nic już nie było widać.

Zdziesiątkowani ruszyliśmy dalej, ale owo „dalej” wiodło w nieznane. Wiatr zawiął ślady i w całkowitej zaśmianie nie mogliśmy odnaleźć naszej drogi. Snuiliśmy się wokół kosówek, lecz upływające kwadransy nie

przybliżały nas ani trochę do celu.

- Nartaaaa!!! - dobiegł mnie nagle ryk K, a jego wspaniały sprzęt przemknął koło mnie niczym pocisk Cruise. Tuż za nim, kuśtykając pędził K. Pogoń była jednak bezcelowa. I gdy tak staliśmy bliscy załamania, mgła na moment zrzęda i w oddali błysnęło zbawcze światło. W parę minut dotarliśmy do Betlejemki, a w jej drzwiach powitał nas sam B.

- No, jesteście wreszcie - stwierdził z ulgą, a zza jego pleców wyglądali nasi koledzy z Kuźnic.

Pokiwaliliśmy zaśnieszonymi kapturami.

- Z jedną nartą?

- Zgubiła się...

- To wszystkie wasze rzeczy?

- Zostawiliśmy depozyt.

- Jaki depozyt?

- No tam, pod podporą, jutro pójdziemy. I tak czekana będziemy szukać.

- To czekan też zgubiliście?

- No...

B ze smutkiem pokiwał głową.

- Element ludzki coraz słabszej jakości, ech...

*

Depozyt odzyskaliśmy, ale czekan trafił zlag. Nie pomogła całodniowa orka na zboczach. Czekan znalazł się - ale dopiero na wiosnę. Mnie już nie posłużył. Nie było rady - uzbrojony w wypożyczone z Betlejemki skrzyżowanie nadziaka i halabardy ruszyłem wraz z moimi towarzyszami na Prawe Żebro.

Pierwszy wyciąg należał do mnie. Wbiłem na nim dwie igły trawkowe, co wprawiło TK w ekstazę.

- Super, super - mamrotał po dojeździe na sztant - widzę, że łapięś pan wszystko w lot!

Nie komentując rzeczy oczywistych, więc skromnie milcząc runąłem dalej. Pokonawszy 10 metrów kominka ugrzązłem w okapiku. Pięć metrów niżej lunąłem haka, więc śmiało parłem do góry. Do głowy mi nie przyszło, aby wbić kolejnego i się go przytrzymać. Ja wspinałem się stylowo! Zamiast tego wbiłem mój pomarańczowy tasak w coś nad okapikiem i pełen ufności szarpnąłem ze szmaty. Pacl - to wyskoczył czekan, a wraz z nim i ja runąłem w dół. Lot trwał niezmiernie długo, jakbym leciał jakąś rurą zsypaną, poczym nagle coś szarpnęło i zadyndalał rakami paręnaście centymetrów nad skamieniałą z przerażenia twarzą K.

- O, k.... - jęknął tylko.

Ból przeszywał mi kostkę i czułem ogromną ochotę na uwolnienie pawia.

- Stało ci się coś? - zatroskał się TK.

- Nieee - odparłem natychmiast - wszystko OK. Idę dalej.

Jakoż i poszedłem, ale jak tylko zniknąłem im z oczu palnąłem się w śnieg i począłem zwijać z bólu. Poleżałem tak parę minut i zebrawszy się w garść popęzłem do góry. Jednak po upływie 2 godzin i 20 metrów bieżących TK zdecydował:

- Kursant, zjeżdżaj! - co przyjąłem z wdzięcznością i założywszy pętelkę na wyciosany z lodu rumpel z ulgą upuściłem się na stanowisko. TK o nic więcej nie pytał, tylko zarządził „odwrot”.

W schronie, gdzie z trudem zjąłem but, moim oczom ukazała się noga sina jak baleron i błyskawicznie puchnąca. Z niedowierzaniem wpatrywałem się w to dziwne zjawisko, gdy do pokoju wmaszerował wyraźnie zniesmaczony RK:

- Kursant. I ty poleciałeś? Zawiodłem się na tobie!

*

Kurs tymczasem upływał wesoło, bo i towarzystwo było pierwszorzędne. Rej ponownie wodził N, a choć nie było pięknej ZC, to w jej zastępstwie pojawiła się młodziutka, choć nad wiek dojrzała AT aka S, która na Betlejemce otrzymała też przezwisko „Piżama”, co było skrótem od Pierwsza Żeńska Mistrzyni Alpinizmu.

Po kilku dniach przerwy doszedłem jakoś do siebie i mogłem dalej uczestniczyć w zajęciach. Ponieważ TK musiał nas opuścić, dołączyliśmy z K do zespołu RK, w którym znajdował się sympatyczny gość o pseudonimie K (dla odróżnienia nazwę go K2). Otóż K2 szybko stał się moim idolem. Nie tylko dlatego, że nigdy nie tracił pogody ducha. Raz zawisnąwszy w młotku na żebrze Czecha zaczął historycznie chichotać.

- No i z czego rżysz? - zarechotałem, bo śmiech miał zaraźliwy.

- A bo ja nie lubię ponuractwa na wspinaniu - odchichotał.

Innym razem, na czubku Świnicy, wyróżnął orła tuż pod nogi RK, na co ten ryknął:

- Kurwa, dlaczego się przewracasz?!!!

A zdziwiony K2 na to:

- Jak to dlaczego? Bo jest ślisko!

Jednak idolem moim został K2 z powodu kobiet, które odwiedzały go w ilościach przekraczających wyobrażenie normalnego młodzieńca. Co więcej - każda z nich przywoziła gigantyczne ilości żarcia, a że był to okres świąteczny, to i jadłospis był urozmaicony. Z niedowierzaniem patrzyliśmy na te niebożęta, które wydobywały z przepastnych worów całe stoły sałatek, pieczonych kurczaczek i pierożków. Promieniejący K2 wołał wtedy:

- Chłopaki, chodźcie, częstujcie się!!! - a że nam nie trzeba było powtarzać, stół zniknął szybciej niż się pojawiał. I tylko na twarzę delikwentki malowało się

niedowierzanie równe rozczarowaniu, a jedna to się nawet mało nie poplakała.

Oto, jak głupie są baby!

W każdym razie wieczorem, K2 zalegał na łóżku lewą ręką przyciskając chichoczącą grubszałą czarnulę, prawą zaś wkurzoną babę - herod, a z górnego łóżka pochłipywała ta myszowata blondyneczka. Ten to się umiał ustawić!

*

Kurs tym razem nie kończył się egzaminem, tylko zaliczeniem. Była to w zasadzie formalność, choć jednak N nie zaliczył. A nie zaliczył dlatego, że miał odwagę głosić prawdy bezkompromisowe. No więc, gdy padło pytanie:

- Wymień ściany Świnicy - N pogardliwie prychnął.

- Ściany? Jakże kurwa ściany? Świnica nie ma ścian.

Świnica ma z b o c z a !

Po chwili konsternacji, próbując ratować sytuację, B rzucił mu koło ratunkowe.

- A na jaką ścianę pójdziesz na swoją pierwszą drogę po kursie?

Ale N spojrzał tylko na niego jak na wariata.

- Jak to na jaką?! Przecież tu jest tylko jedna ściana!

A widząc nie rozumiejące spojrzenia wysylabizował:

- Ka-zal-ni-cal

*

JWK patrzył na nas nieco podejrzliwie, gdy K i ja zgłaszaliśmy się na egzamin. Szczególnie na mnie typał z zaskokiem, nawet jakby mu głowa jeszcze bardziej od tego wysmukła.

- To kursant mówisz, że masz kurs zimowy i sto godzin?

- Sto i pół Panie Instruktorze!

- Udokumentowane?

- Czarno na białym! Ciężką pracą wychodzone!

- No dobra - zaszepił się - w każdym razie i tak musicie dowieść przed komisją, że jesteście samodzielnymi wspinaczami.

- He?

- Dokładnie - ciągnął JWK, któremu nagle objawił się jakiś pomysł i wprawił go w nad wyraz dobre samopoczucie - tatarnik samodzielny, jak nazwa wskazuje - działa samodzielnie! Widzicie, jedziemy latem w Dolomity. Więc wy mi opracujecie cały ten rejon, tre Cime i Marmoladę, i zobaczymy jak Wam to pójdzie.

- Ale my chcemy w Alpy, nie w Dolomity.

- Nie szkodzi - nie zrażał się JWK - ale ja jadę w Dolomity. Więc zrobicie mi to opracowanie - wiecie, żeby wszystko ładnie było; gdzie spać, jakie ceny, drogi, górskie niebezpieczeństwa i takie tam - a ja to potem sprawdzę w terenie. Przynieście opracowanie na egzamin, to was dopuszczę.

Ha, trudna sprawa. Przysiedliśmy z K fałdów, rozpruiliśmy parę książek żeby wydobyć zdjęcia, ale w końcu przygotowaliśmy, niby pracę magisterską, nasze cenne opracowania. Nasze przepustki do egzaminu.

*

Przed drzwiami sali egzaminacyjnej przy ulicy Mazowieckiej zameldowaliśmy się z odpowiednim wyprzedzeniem. Dzięki temu mogliśmy jeszcze skorzystać z giełdy.

- Jednej rzeczy jeszcze panu nie powiedziałem - podszedł do mnie TK - z Małej Galerii schodzi się albo na Zadnią, albo - i lepiej - wprost do żlebu Mnichowego.

- A jak dokładnie? - zaciekawilem się.

- W miejscu gdzie trzeba kawałek podejść do góry, wyglądasz za krawędź, i tam jest taki sprytny żlebek. No proszę, jaka prosta sprawa! Podpowiedź ta bardzo podniosła mnie na duchu i sprawiła, że uznałem moją wiedzę za całkowicie kompletną.

- Zapraszamy! - to JWK wychylił się ze środka i oto ja i K znaleźliśmy się przed komisją.

- Dobra dawajcie kwity - powiedział AP, który wtedy nosił brodę.

Przejęci, wydobyliśmy papiery z kursu, karty taternika i legitymacje.

- A to są nasze opracowania - podsunąłem mu raporty o Dolomitach.

AP zrobił kwadratowe oczy.

- Co to jest do cholery?!

- Nooo - spłoszyłem się - to jest dowód naszej samodzielności.

- W sensie jako wspinaczy samodzielnych - uzupełnił K.

AP popatrzył na nas jak na kosmitów i uderzył w rechot:

- R, chodź no tu, musisz to zobaczyć - chichotał - patrz, jakich tu naukowców mamy, hi hi hi! Nadiągnął RG i zaczął oglądać nasze prace jakby zobaczył zwoje znad Morza Martwego.

- Co wam do głowy strzeliło? Ktoś wam to kazał zrobić?

- Noo - zacząłem, ale nagle do dyskusji włączył się JWK.

- Chłopcy chcieli po prostu zademonstrować Komisji, że potrafili samodzielnie przygotować się do wyjazdu w nieznany rejon górski. - wyjaśnił.

- Aaaa - AP i RG ze zrozumieniem pokiwali głowami.

- No dobra - zakończył sprawę AP - K zdaje u nas, a kursant do drugiej komisji.

Odwrociłem głowę i ujrzałem to, czego bałem się od samego początku. W wyznaczonej mi komisji siedział - jak zwykle ponury - alpinista RK.

- A czego ty tu kurwa szukasz?! - powitał mnie bez zbędnych wstępów.

- Ja, no, na egzamin...

RK jednym ruchem zwinął moje papiery i z obrzydzeniem rzucił z powrotem.

- Zabieraj się. Nie masz godzin.

- A właśnie, że mam! Sto i pół!

RK chwycił mój wykaz i począł go nerwowo studiować.

- Ha! Gównol! Dopisałeś drogi z kursul

- Mam prawo! Gdzie jest napisane, że nie wolno?

RK tym razem zagłębił się w regulaminie egzaminów.

- Weź no poszukaj - powiedział do Drugiego Członka (DC) - coś nie mogę znaleźć.

Potem spojrzął na mnie groźnie i oświadczył:

- Zresztą i tak nie możesz zdawać, bo nie wolno zdawać dwóch egzaminów w tym samym roku. Pamiętam to dokładnie.

- Tak? To pokaż mi ten przepis.

Po dłuższej chwili wertowania regulaminu spocony DC oznajmił:

- No niestety, musimy go przyjąć. Wykorzystał lukę w przepisach...

- Jaką lukę! - zaprotestowałem - to są właśnie przepisy, a nie żadna luka.

RK spojrzął na mnie ze złością.

- Dobra kursant - syknął - ja cię kurwa przeegzaminuję ... Siadaj!

- Nie zgadzam się - ryknąłem zerwawszy się z krzesła - ta komisja jest do mnie uprzedzona!!!

- Dość mam tej komedii - trzasnął łapą w stół RK - koniec obrad! - po czym zwinął swoje manatki i zwyczajnie wyszedł.

Nieco zdezorientowany podszedłem do AP, który obserwował całe zajście zza swojego prezydialnego stanowiska.

- No tak kursant - pokiwał głową - a umiesz chociaż cokolwiek?

- Oczywiście. Obryty jestem na blachę!

- No dobra, damy ci szansę. Opisz zime wejścia z Cubryny.

Bogu dzięki, że robiłem tę grań Moka. Począłem referować jedno po drugim, widząc wzrastającą przychyłość w spojrzeniach komisarzy.

- A jak najszybciej zejść z Wielkiej Galerii? - zahaczył RG.

- No, najszybciej to do żlebu Mnichowego.

- A jak dokładnie?

- Jak się zejdzie na Małą Galerię, to potem kawałeczek do góry, a potem tuż za krawędzią jest taki sprytny żlebek.

RG spojrzął na mnie z uznaniem.

- Po tym widzę, że tam byłeś - oznajmił - Inaczej byś nie wiedział, że podchodzi się ten kawałek do góry.

Pognębili mnie jeszcze chwilę, coś o zakopywaniu czekana, po czym uznali moje wiadomości za wystarczające. Oszołomionemu, ucisnęli grabę, klepnęli po plecach i wyrzucili na korytarz.

Rok później odwiedziłem zimą Małą Galerię. Wszystko było dokładnie tak, jak opisał TK. Trafilibym z zawiązanymi oczami. A sprytny źlebek jest tam do dziś...

*

Tydzień później odbierałem moją kartę od pani W.

- No, gratulacje, kursant! Udany rok, co?

Ze wzruszeniem przyjąłem z jej rąk niepozorny kartonik. „Taternik samodzielny” - okrąglą pieczęć czarno na białym określała mój nowy status. I gdy tak stałem gotów się niemal rozplakać ze szczęścia, na korytarzu rozległ się wściekły ryk:

- Cooooo!!!! To on zdali? - i do pokoju wparował czerwony na gębie RK.

Opanowałem pierwszy odruch paniki i śmiało odpaliłem.

- Zdałem eRKu, zdałem. O, tu mam pieczątkę!

RK stęknął jak po puszczeniu bąka i oznajmił.

- Ja to kurwa unieważniam!

- Żebyś ja ci wypłaty nie unieważniła - odgryzła się za mnie pani W, odnosząc się do prowadzonych przez RK prac wysokościowych, i na tym dyskusja się zakończyła.

A przede mną pozostała już tylko jednak przeszkoda.

*

Czyż mogło być inaczej? W komisji kwalifikującej do wyjazdu w Alpy zasiadał oczywiście RK. A bez zakwalifikowania przez nią - o wyjeździe nie mogło być mowy. Nie tylko, że klub znacząco dofinansowywał wyjazd, ale otrzymanie sportowego paszportu i wiz było bez tego niemożliwe.

- Kursant, a co ty robiłeś na Kazalnicy? - zjadliwie zapytał RK.

- Nic - odparłem zgodnie z prawdą.

- No to w Alpach też nic nie zrobisz - zarechotał RK z trzaskiem zamykając moje dossier.

Tak oto zamknęła się przede mną droga w Alpy.

Nie pomogły monity i prośby. Nawet, gdy już chciał ktoś pomóc, to usłyszawszy, że „nic na Kazalnicy” natychmiast zaczynał gorąco odradzać wyjazd. Narastały we mnie rozgoryczenie i wściekłość.

Odsiecz przyszła z najmniej oczekiwanej strony.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie rozgorączkowany K i wykrzyczał:

- ZW powiedział, ja pieldole, że nam pomoże! Pojedziemy, kutwa! Szybko składajmy papiery!

Nie bardzo rozumiałem o co chodzi, więc szybko zadzwoniłem do ZW. On oczywiście dalej namawiał mnie na Dolomity, ale twardo nie ustępowałem.

Oświadczyłem, że wolę nigdzie nie pojechać. Alpy albo nie! Skonfrontowany z taką determinacją ZW w końcu ustąpił:

- No dobra. Jutro o 13-tej RK idzie do pezety. Ja w tym czasie postaram się zatwierdzić wasze kandydatury.

Całe następne przedpołudnie czekaliśmy z bijącym sercem. O 13.30 zadzwoniliśmy do ZW.

- Jedziecie - padło w słuchawce - choć i tak uważam, że tylko zmarznięcie sobie sezon. Ale jeśli tak chcecie - to jedźcie. Tylko nie wchodźcie eRKowi w drogę.

Odłożyłem słuchawkę i bezwładnie osunąłem się na fotel.

A jednak - po tylu miesiącach starań i wyrzeczeń - jadę. Wprost nie mogłem w to uwierzyć. Zobaczę Mont Blanc i stanę na jego wierzchołku. Zejdę w dół Vallee Blanche, pokonam południową Midi i Lachenala. Przejdę Filar Gervasuttiego i Directe Americaine. Wespnę się na igłach, na lodospadzie, przeżyję śnieżną burzę i wpadnę do szczeliny. To wszystko nie mieściło mi się wtedy w głowie, ale przecież to dlatego wstąpiłem na tę ciemnową drogę niekończących się kursów, egzaminów i komisji.

Po to, aby w końcu zobaczyć Chamonix i stać się prawdziwym ALPINISTĄ.

EPILOG

W samolocie lecącym do Kathmandu, podążając pod Makalu, siedzieli Tomek Kopyś i Rysiek Kotakowski. W nietypowym dla siebie geście z troskowania Rysiek powiedział:

- Wystaliście ich tam, żeby się upierdolił.

- Martw się o siebie - uciął Tomek. Myśla mi był już przy swoim pierwszym ośmiotysięczniku i bardzo chciał wierzyć, że uda mu się wejść.

Kto mógł przypuszczać, że los napisze taki finał. Nie zobaczyliśmy już Ryska więcej. Pozostał gdzieś tam, wysoko, wierny swemu hardmerństwu do końca.

Wtedy uświadomiłem sobie, że przecież go lubiłem.

I będzie mi go - w tym moim nowym, alpinistycznym świecie - po prostu brakowało.

Kursant

spisał Artur Paszczak

Wspomnienia kursanta dedykuję trzem najważniejszym dla mnie ludziom tego okresu: Tomkowi Kopysiowi, Ryskowi Kotakowskiemu i Janowi Wojciechowi Kubaniowi.

W następnym A/Zero:

KURSANT FOTOSTORY ORAZ WHO IS WHO!

Rzyg kamienia

Jan Gondowicz

Nastał wreszcie wielki sezon kina. Gdzie nie spojrzeć, arcydzieła. Z kronikarskiego obowiązku wymienię Tam, gdzie rosną pociotki - kolejną sagę z dzieciństwa niespożytego Ingmara Bergmana, nowe dzieło Spielberga Park już rajski, mające za temat wskrzeszenie z kropli wosku żywego anioła, ów pełen napięcia dramat specjalisty - Kontakt elektryka Greenawaya, i obrażający drastycznie pracę chirurga w dzielnicy mętów film Tarantino Doktor Zszywago. Kinematografia rosyjska odmalowała tragizm postarzałego wynalazcy brukwi pnącej, Miczurina, w filmie Bułwa Zachodzącego Słońca. A w końcu i nasz Co się zdarzyło Babie Jadze z Bogusławem Lindą w roli Jasia nie należy do dzieł tuzinkowych. Mało tego, mamy wszak dokument o bezrobotnych, kradnących z nędzy auta - Złodzieje Land Roverów. Równie godny uwagi jest szalony romans kierownika warsztatu samochodowego z księżową w filmie Ostatnie manko w garażu.

I oto geniusz kina wstąpił w twórcę nieśmiertelnego Nastrozka, Wernera Herzoga. Po ostatnim filmie, mającym za temat tragiczny los Pedro Nuneza de Balboa, który miast Eldorado odkrył Pacyfik, lecz go to nie powstrzymało, choć słabo pływał w zbroi - Herzog porzucił konkwistadorów na rzecz alpinistów. Na pozór to ten sam temat: zdobywcy, który nie może już postąpić ani kroku dalej, bo góra mu się skończyła. Ale tylko na pozór. Nowe osiągnięcie mistrza, Rzyg kamienia, to dzieło niebywałe.

Fabula filmu oparta jest na biografii zdobywcy Mount Sagan (Saganmatha) w Himalajach Bhutanu (17654,321 m. n.p.m.), Gerda Stumpf, zwanego „budowniczym Matterhornu”, gdyż jako pierwszy wpadł na myśl, iż śmieci z dróg wspinaczkowych, miast w dole, potrzebniejsze są w górze, w efekcie czego podwyższył piękną alpejską piramidę o ponad cztery metry. Spędził on wśród urwisk tej malowniczej góry dwadzieścia pracowitych lat, zbierając troskliwie każdy ukruszony kamień i mocując go na cement jako z zawodu kafelkarz. (Piszę niestety „był”, bowiem, jak wszyscy wiedzą, ów niestrudzony twórca alpejskiej przyrody pośliznął się był w czerwcu na grani Hörnli na skórze od banana). Otóż cechę osobniczą tego świetnego wspinacza stanowiła tzw. hydrocefalia, dzięki której Stumpf pod wpływem komplementów mógł bez wysiłku pokonywać teren skalny, jako że bańki gazu, gromadząc się pod sklepieniem czaszki, ujmowały mu wagi.

Ten osobiwy dar Stumpfa przykuł uwagę wielkiego reżysera, który - jak opowiada w autobiografii Vom Gehen im Eis - zaobserwował przed laty jego niezwykle wyczyny na ścianie Wanzenbergu. Rzecz jasna, nie kto inny jak Stumpf miał zagrać w Rzygu kamienia rolę główną (tego właśnie terminu użył Herzog w wywiadzie, jaki przeprowadził z nim w trakcie zdjęć Eberhard Laus dla pisma „Bergführer”). Gdy jednak los odebrał mu szansę owej współpracy, Herzog wyszukał w sanatorium Hammerau pod Salzburgiem sobowtóra sławnego alpinisty, a nawet posunął się tak daleko, że mimo prac montażowych uczestniczył w jego pogrzebie w Montesaiko pod Trydentem, gdzie jesienią kręcono efekty specjalne. Ten zatem aktor-amator, Kuba N. o bolesnych, zapatrzonych w głąb oczach i posępnym, gigantycznym czole, odgrywa w nowym arcydziele Herzoga rolę Kreatora, który skończoności Natury przeciwstawia swą przemożną wolę.

Tu miejsce na przedstawienie drugiej osoby dramatu, jaką jest jedna z najniezwyklejszych formacji skalnych świata, pakistańska Naparkandra (6161 m. n.p.m.), przypominająca, w niejakim uproszczeniu, spiralną kłatkę schodową, lecz postawioną odwrotnie. To pod pewnymi względami ideał szczytu, istna góra gór, gdzie nie utrzyma się nawet łąno himalajskiego orła, szczyry lód zalega wszystkie podesty między piętrami, szczytową zaś wycieraczkę szlifuje wieczny huragan. Tam właśnie uparty Kuba N. niezmordowanie wnosi odpadłe od jej piersi dziewicze głazy, oko kamery zaś (wjeżdżającej wraz z ekipą środkowym szczybem windy) towarzyszy mu krok w krok. I każda z zamarzających mu z brzękiem na smaganej wichrem twarzy rzęsistych kropel potu zostanie troskliwie zebrana, by podwyższyć Ideał, a nawet go przewyższyć.

Z konieczności pominię tu nieco błądą (zwłaszcza pod koniec) rolę towarzyszkii heroicznego zdobywcy, która nieustannymi pochwałami zagrzewa go do czynu. Dźwięczny zgrzyt bijącego w jej piersi szklanego serca, gdy sylweta góry niczym kamienny rzyg rozczapierza na tle nieba spiralę balustrady, to nowy dreszcz geniuszu tytana ekranu.

SEZON 2004 w Polskich Tatrach Wysokich

tekst: Mariusz Wilanowski



Marcin Chmieliński na Lewym Puskasu VI+, pd. ściana Wołowej Turni fot. Małgosia Łaskowska

Po anomaliach pogodowych sezonu zimowego 2003/2004 także początek sezonu letniego 2004 w Tatrach w odczuciach bywalców taborisk jawił się, jako czas stracony. Nieliczne ciepłe i słoneczne dni w czerwcu i lipcu rysowały raczej marną perspektywę i działalność w tych miesiącach ograniczała się do wykorzystywania pojedynczych okien pogodowych. Zmiana na lepsze przyszła w połowie sierpnia, kiedy w Tatrach zagościło słońce. Ściany zaczęły schnąć a przebywający w tym czasie w Tatrach wspinacze mogli zabrać się za „robienie wykazów”. Piękna i słoneczna pogoda trwała prawie do końca września. Ubiegłoroczna dyskusja w środowisku dotycząca etyki prowadzenia nowych dróg sprawiła, że podobnie, jak wielu wspinaczy zastanawiałem się czy postanowienia, wypracowanej z takim trudem „Deklaracji Tatrzańskiej” będą respektowane przez ogół wspinaczy. Bo choć mogłoby się wydawać, że miejsca na nowe drogi w naszych małych Tatrach jest coraz mniej, to poniższe omówienie zdaje się temu przeczyć.

Rejon Morskiego Oka

Dwie powstałe w tym sezonie drogi definiują dwa skrajne bieguny tatrzańskiego wspinania. Mowa oczywiście o powstałej na Cubrynie drodze *Czas Pogardy* VII A3+ i *Misterium Nieprawości* na Mnichu. Obie powstawały w czasie kilku dni rozłożonych na kolejne szczyty w ścianie, jednak reprezentują zgoła odmienny styl działania. Pierwsza padła *Misterium Nieprawości* X- na Mnichu autorstwa zespołu

Andrzej Marcisz, Piotr Korczak i Tomasz Opozda, która doczekała się po uprzednim ubezpieczeniu ze zjazdu przejścia klasycznego w dniu 11.09.2004r. Droga oferuje poważny ciąg trudności i pretenduje do najtrudniejszego klasycznego pasażu po polskiej stronie Tatr (chodzą słuchy, że kluczowy wyciąg może oferować wyższe niż zaproponowane przez autorów trudności X-). Jest ona w prostej linii kontynuacją dokonań tego samego zespołu w postaci dróg *Superata Młodości* i *Metallica*.

Na drugim biegunie znajduje się nowość zespołu Marcin Michalek i Adam Pieprzyci - *Czas Pogardy* VII A3+ na Cubrynie. Rozłożone w sumie na 10 dni oblężenie Cubryny pozwoliło na wytyczenie linii rozwiązującej środek Kazałnicy Cubryńskiej i pociągnięcie dalej (jak to dawniej było normą) drogi aż do szczytu. Droga liczy łącznie 25 wyciągów wspinania i dużo łatwego terenu w stopniu I-II. I choć autorem drogi - zdeklarowanym tradycjonalistom - nie udało się uniknąć wbicia trzech spitów (czego nie mogli odżalować) to podobnie jak z *Misterium*... możemy spodziewać się w rzeczywistości wyższej wyceny trudności. Chodzi oczywiście o wycenę trudności hakowych, propozycja wyceny A3+ wynikała chyba tylko z braku porównania do stopnia A4. Być może mamy do czynienia z trzecią drogą w stopniu A4 - po *Drodze Śiekluckiego* A4+ na Kazałnicy Cubryńskiej i *Nauce Haczenia* A4 na Wielkiej Turni (po tegorocznym przejściu zespołu Grzegorzewski-Jachymiak, autorzy przejścia dla oryginalnego wariantu podtrzymują wycenę A4).



MNICH 2070m - najpopularniejsza ściana Tatr Polskich i miejsce kilku rewolucji trudności. Tym razem gra idzie o X stopień - czas pokaże, czy rzeczywiście. Zaznaczono obie drogi autorstwa "Montano Tatry Team" w składzie Piotr Korczak, Andrzej Marcisz i Tomasz Opozda. Linia żółta to "Metallica", IX+, otwarta 17.09.2003 (z W. Marciszem), czerwona to "Misterium Nieprawości", min. IX+, poprowadzona 12.09.2004. ,

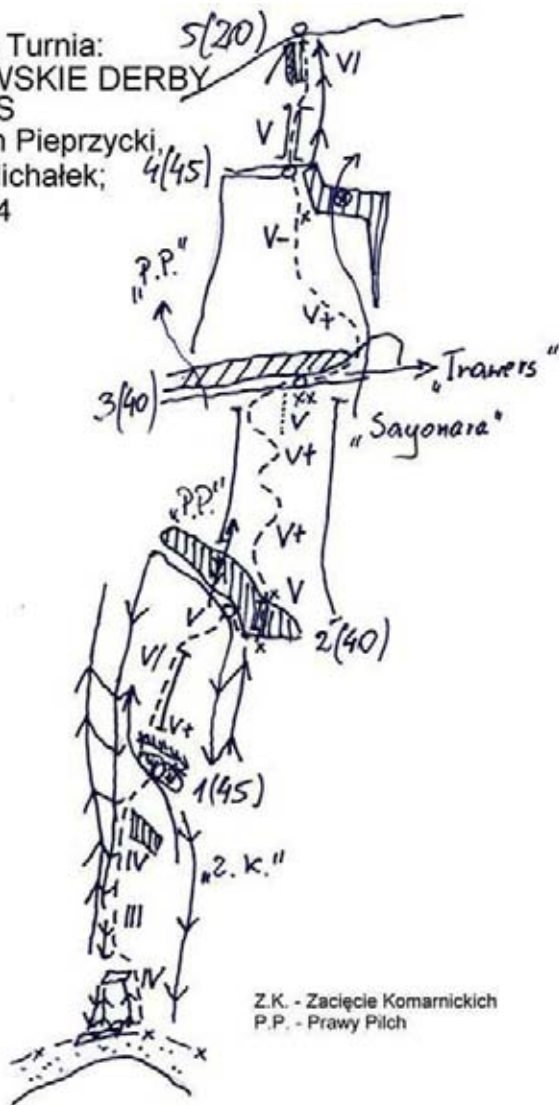
Jak wypowiadali się sami autorzy *Czasu Pogardy* „...chcieli zrobić drogę, której Janusz Golańb nie zrobiłby zimą nonstopem za pierwszą próbą w 13 godzin...”. Pozostaje czekać na powtórzenia obu dróg w przyszłym sezonie i ustosunkowanie się do zaproponowanej przez autorów wyceny.

Na najhonorniejszej ścianie Polskich Tatr - Kazałnicy Mięgoszowieckiej, w tym roku panował wyjątkowo mały ruch. Powstał tylko jeden wariant autorstwa Jana Hobrzańskiego i Mirosława Pruszyńskiego. *Trawers Tetryków* - propozycja wyceny nie potwierdzona, ale mówi się o VII+ - to nowy sposób wtrawersowania w *Kant Filara*. Forma i aktywność obu twórców nowego wariantu godna pozazdrośczenia.

Na wschodniej ścianie Mnicha oprócz wspomnianej na początku *Misterium Nieprawości* powstała nowa kombinacja nazwana *Orion 110 VIII+/IX-*. Autorzy kombinacji Marian Bałakowicz i Janek Wawrzyniak wystartowali z Półek *Fereńskim*, następnie połączyli się z *Metalliką*, którą przeszli drugi wyciąg (*Orion*), ostatni wyciąg z *Trawnika Starosty* poszli w lewo i wyszli *Wachowiczem*. Natomiast na oplecionej siatką dróg i wariantów północno - zachodniej ścianie Mnicha, pomiędzy *Zacięciem Mogilnickich* i *Drogą Robakiewicza* zespół Michał Głajcar i Sławek Grzybek poprowadzili *Fuczoka VI+/VII-*.

Z ciekawszych powtórzeń w rejonie Moka, których było w tym sezonie wyjątkowo mało trzeba wspomnieć o pierwszym powtórzeniu ubiegłorocznej nowości z Mnicha - *Metalliki IX+*. Anonsowane na początku sierpnia powtórzenie drogi przez zespół Marcin Pięsta i Michał Wacławek wywołało wiele kontrowersji. Przejście dokonane w kilku „sejsach na drodze” z różnymi partnerami, w sytuacji,

Zamarta Turnia:
TARNOWSKIE DERBY
VI OS
1p. Adam Pieprzycki;
Marcin Michałek;
3/07/2004



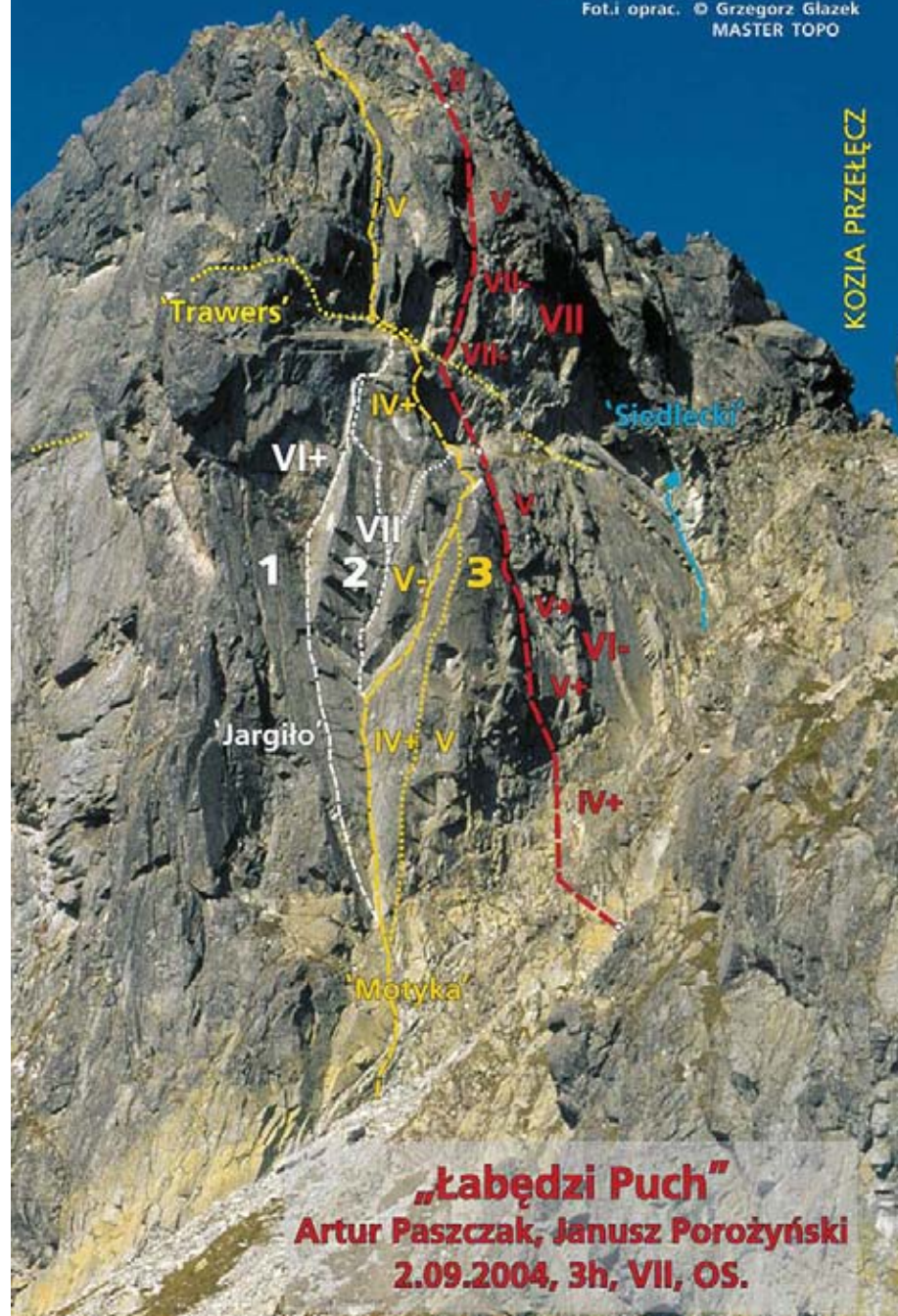
rys. Marcin Michałek

kiedy żaden ze wspinaczy nie poprowadził wszystkich wyciągów trudno chyba uznać za pełnoprawne przejście. W takiej sytuacji wydaje się, że za pierwsze powtórzenie powinno zostać uznane przejście zespołu Grzegorz Hajny i Paweł Kopta z 11.09.2004 r. Paweł, który prowadził całość drogi zaproponował dla kolejnych wyciągów następujące wyceny: IX, VIII, IX+, VIII+, VII+, VIII+.

Zamarła Turnia

Fot. i oprac. © Grzegorz Głazek
MASTER TOPO

KOZIA PRZELĘCZ



„Łabędzi Puch”

Artur Paszczak, Janusz Porożyński
2.09.2004, 3h, VII, OS.

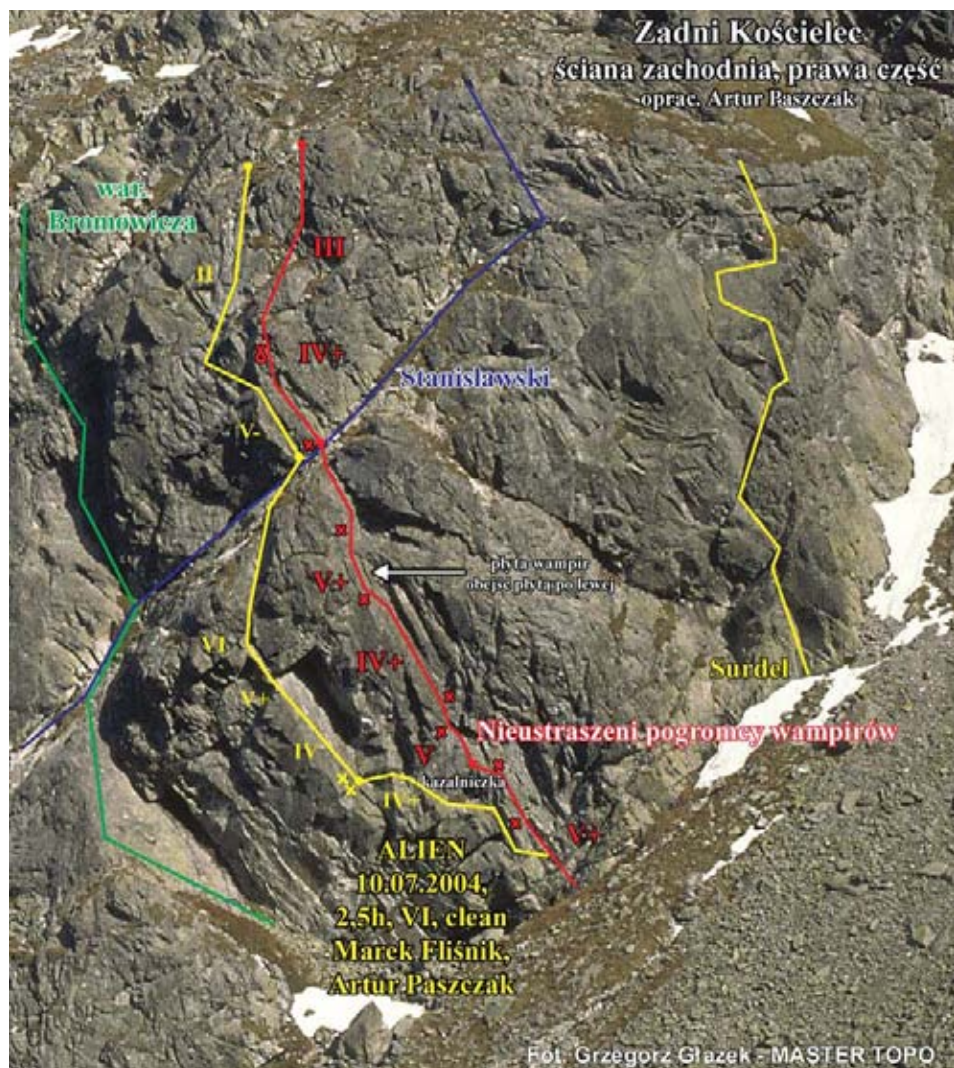
„Piątka”

Południowa ściana Zamarłej Turni ze względu na duże nagromadzenie dróg, wydawać by się mogła mało ciekawym celem dla eksploratorów poszukujących nowych linii. Nic bardziej mylnego. W minionym sezonie na tej ścianie przybyły aż trzy nowe drogi. Co ciekawe, ściana „dopuszczona” ustaleniami „Deklaracji Tatrzańskiej” do otwierania na niej dróg od góry wzbogaciła się o linie wytyczone wyłącznie w stylu „clean”. Na początku lipca, autorstwa zespołu Marcin Michałek i Adam Pieprzycki powstała *Tarnowskie Derby* VI+. Zlokalizować ją można na lewo od *Sayonary*, a asekuracja na drodze głównie z cienkich haków. Druga nowość powstała dzień później to *Tradycja* V+ A2. Droga o wiele mówiącej nazwie poprowadzona przez Mariusza Nowaka i Marcina Szczotkę wiedzie wprost przez przewieszony „dziób”

na kancie Zamarłej. Autorzy prowadzenia traktują drogę, jako projekt pod przejście klasyczne i zapowiadają nie dobijanie w celu przejścia dodatkowej asekuracji. Ostatnią nowością jest poprowadzona na początku września w rzadziej uczęszczanej prawej części Zamarłej, droga autorstwa Artura Paszczaka i Janusza Porożyńskiego *Łabędzi Puch* VII. Linia wypatrzona już dość dawno przez Artura znajduje się pomiędzy *Mołyką* a *Drogą Siedleckiego*. Swoją drogą ciekawe ile jeszcze dróg powstanie na Zamarłej?

Hala

W rejonie Hali Gąsienicowej najwięcej działo się jak zwykle na zachodniej ścianie Kościelca. W tym roku na celowniku znalazł się fragment ściany w okolicach drogi *Lobby Instruktorskie*. Podobnie, jak na Zamarłej duże





Zamarła Turnia, Łabędzi Puch VII, wspina się Artur Paszczak fot. arch. Artur Paszczak



Marek Flisnik na Alienje VI, Zadni Kościelec fot. arch. Artur Paszczak

nagromadzenie dróg nie przeszkodziło w poprowadzeniu aż trzech nowych linii. Najważniejsza z nich to droga zespołu Robert Rokowski i Adam Pieprzycy *Co by Gosie powiedziały* VII- A2. Droga robiona w stylu tradycyjnym od dołu oferuje kilkanaście metrów hakówki w końcowej części drogi. Robert i Adam traktują *Co by ...* jako projekt drogi klasycznej robionej od dołu.

Próbę ukłasyzczenia odcinka A2 podjęli już zresztą w minionym sezonie, dwa dni trwała walka z 15 metrowym odcinkiem z kluczowym startowym bulderem. W opinii chłopaków w skalkach miało by to VI.4+ ... próby ukłasyzczenia odbywały się na asekuracji z przejścia hakowego.

Wyjątkową aktywnością eksploratorską w rejonie Hali wykazał się w tym sezonie Marcin Poznański, który jest współautorem czterech dróg. Dwie z nich umiejscowione są na zachodniej ścianie Kościelca. *Koleba Korps* VII+/VIII- poprowadzona wspólnie z Damianem Pietrzykiem startuje na lewo od *Byczkowskiego* i przecina go przed ostatnim wyciągiem. Droga została ubezpieczona 7 spitami i kilkoma hakami. Natomiast *Wariant Prostujący* VI autorstwa zespołu Poznański-Dubik rozwiązuje teren pomiędzy *Koleba Korps* i *Drogą Gąsiekiego*.

Na sąsiedniej zachodniej ścianie Zadniego Kościelca Marek Flisnik i Artur Paszczak poprowadzili *Aliena* VI, droga powstała w stylu „clean” i można ją zlokalizować na lewo od *Drogi Surdela* (szczegóły na fototopo w tym numerze A/Zero). O nową drogę wzbogaciła się też Świnica na której Marcin Poznański i Damian Pietrzyk poprowadzili *Mury Jerycha* VI. Nowość liczy około 9 wyciągów wspinania, początkowo biegnie po lewej stronie ptn.-zach. filara Świnicy by w jego połowie przejść na prawą stronę filara skąd wprost

na wierzchołek. Na drodze pozostawiono kilka haków kierunkowych.

Ostatnią z nowości w rejonie Hali jest *Jak malowany ptak* VI na Niebieskiej Turni autorstwa zespołu Paweł Ochman, Damian Pietrzyk i Marcin Poznański. Jest to pierwsza od ponad trzydziestu lat droga na tej Turni, oferuje tradycyjną asekurację na sześciu wyciągach wspinania. Drugi i ostatni wyciąg mogą pokrywać się z wiodącą północnym filarem drogą Koniarka i Sawickiego z 1952 roku.

Posumowanie

Początek sezonu nie wskazywał na to, że doczekamy się tylu nowości po polskiej stronie Tatr. Powstało kilka naprawdę interesujących dróg, z których na czoło wysuwają się *Czas Pogardy* na Cubrynie i *Misterium Nieprawości* na Mnichu. Obie reprezentują jakże odmienne style działania, które zapewne znajdą swoich naśladowców. O tym, że tak skrajnie charakterem drogi będą powstawać w przyszłości niech świadczy fakt próby zespołu Grzegorzewski-Kubera na monstualnym okapie Ministranta we wrześniu i otwarcie na Mnichu w połowie października 2004 nowego projektu biegnącego na prawo od *Baryły* przez zespół Grzegorzewski-Korczak-Kozak-Marcisz określonego przez autorów jako „inauguracja sezonu letniego 2005”.

Z ciekawostek warto jeszcze przytoczyć apel jednego z zespołów zestresowanych po odwiedzeniu *Walki o ogień* na Kopie Spadowej o „obicie płytowych wyciągów ... bo szkoda drogi, a to co tam jest to śmierć w oczach”. Nietrudno wyobrazić sobie reakcję na taki wpis w książce wyjść. Ubiegłoroczna dyskusja środowiskowa o etyce i postanowienia „Deklaracji Tatrzańskiej” jak na razie wydają się być respektowane przez ogół wspinaczy i miejmy nadzieję, że tak pozostanie także w przyszłym sezonie.

TATRY WYSOKIE - LATO 2004 - WYKAZ PRZEJŚĆ

Nowe drogi

Cubryna

Czas Pogardy VII A3+;

Marcin Michałek i Adam Pieprzycy 15. 17. 18. 28. 29.08 oraz 4-5.09 i 10-12.09.2004r.

Kazalnica Mięgoszowiecka

Trawers Tetryków VII+ (?);

Jan Hobrański i Mirosław Pruszyński 19.08.2004r.

Nowy wariant - nowy sposób wtrawersowania w *Kant Filara*.

Kościelce

Co by Gosie powiedziały VII- A2;

Adam Pieprzycy i Robert Rokowski 29.06.2004r.

Koleba Korps VII+/VIII-;

Damian Pietrzyk i Marcin Poznański 11.09.2004r., droga otwarta od góry.

Wariant prostujący VI;

Marcin Dubik i Marcin Poznański 28.06.2004r.

Mnich

Fuczek VI+/VII-;

Michał Głajcar i Sławek Grzybek 25.08.2004r.

Misterium Nieprawości IX+;

Piotr Korczak, Andrzej Marcisz i Tomasz Opozda 11.09.2004r., po wcześniejszym przygotowaniu drogi ze zjazdu.

Orion 110 VIII+/IX-;

Marian Balakowicz i Janek Wawrzyniak 18.08.2004r., Nowa kombinacja łącząca wyciągi od *Fereńskiego*, *Metalliki* i *Wachowicza*.

Niebieska Turnia

Jak malowany ptak VI;

Paweł Ochman, Damian Pietrzyk i Marcin Poznański 12.09.2004r.

Świnica

Mury Jerycha VI;
Damian Pietrzyk i Marcin Poznański 18.07.2004r.

Zadni Kościelec

Alien VI;
Marek Flisnik i Artur Paszczak 10.07.2004r.

Zamarła Turnia

Łabędzi Puch VII;
Artur Paszczak i Janusz Porożyński 02.09.2004r.

Tarnowskie Derby VI+;
Marcin Michałek i Adam Pieprzycki 03.07.2004r.

Tradycja V+ A2;
Mariusz Nowak i Marcin Szczotka 04.07.2004r.

Ciekawsze powtórzenia

Czołówka MSW

Greystone VII;
Tomek Antecki i Łukasz Mirowski 06.08.2004r.,
Marcin Kocot i Paweł Tarnawski 12.08.2004r.,
A. Górka i Przemek Wójcik 20.08.2004r.

Miękkie Ruchy VII+;
Mariusz Biedrzycki i Grzegorz Rettinger 12.09.2004r.

Porfawora VIII;
Mariusz Nowak, Adam Pieprzycki i Sebastian Wolny RP
05.07.2004r.

Kazalnica Mięgoszowiecka

Kant Filara VII+;
Mirek Koprowski i Marek Meszyński 20.08.2004r. RP

Kopa Spadowa

Bastion VII;
Tomek Antecki i Łukasz Mirowski 05.08.2004r.

Młynarczyk

Kastrator IX-;
Agnieszka Ostrzałek i Paweł Ziolo 19.09.2004r.

Mnich

Metallica IX+;
Grzegorz Hajny i Paweł Kopta 11.09.2004r. Pierwsze
powtórzenie drogi. Propozycja wyceny kolejnych wyciągów:
IX, VIII, IX+, VIII+, VII+, VIII+.

Ny-Ny-Ny VII+/VIII-;
T. Kosiński i Andrzej Dziedzic 19.08.2004r. OS,
Michał Kajca i Andrzej Sokołowski 30.08.2004r.

Superata młodości IX-;
Michał Kajca i Andrzej Sokołowski 30.08.2004r., RP,
Rafał Nowak i Robert Wykręt 07.09.2004r. RP.

Zezwolenie na wiercenie VI+;
Marta Boczyńska i Michał Dziedzic 25.07.2004r. (pierwsze
powtórzenie kombinacji),
Patrik Mach i Rafał Nawrot 08.08.2004r. (2 powt.),
Piotr Cieniela i P. Korzeniowski 18.08.2004r. (3 powt.)

Zamarła Turnia

Kant Pietscha VII+;
Mirek Koprowski i Marek Meszyński 16.08.2004r. (tego
samego dnia zrobili *Lewą Pilchówkę* wprost VII),
Tomasz Głowacki i Michał Kajca 02.09.2004r.

Żabi Mnich

Fantazja VII-;
Mirek Koprowski i Marek Meszyński 12.08.2004r.,
Paweł Rakowski i Grzegorz Sokołowski 24.08.2004r.

Płyta Muminków V;
Michał Bratek i Bartosz Rusek 28.08.2004r. Prawdopodobnie
pierwsze powtórzenie wariantu (dalej kontynuowali *Drogą
Czecha-Ustupskiego*).

Pro-Pain VII+;
Mariusz Nowak i Marcin Szczotka 27.06.2004r.,
Mirek Koprowski i Marek Meszyński 15.08.2004r.,
Michał Kajca i Andrzej Sokołowski 28.08.2004r.,
Paweł Rakowski i Grzegorz Sokołowski 28.08.2004r.

Żabia Turnia Mięgoszowiecka (ŻTM)

Środek VI+;
Paweł Rakowski i Grzegorz Sokołowski 26.08.2004r.

Przejścia solowe

Czołówka MSW

Szare Zacięcie VI+;
Grzegorz Kletschka 18.08.2004r.

Kombinacja (*Szare Zacięcie* do trójkątnego okapu +
Greystone + ost. wyc. *Preludium*) VIII-;
Paweł Kopta 19.07.2004r.

Galeria Gankowa

Filar Puškaša -V;
Mirek Koprowski 24.08.2004r., 1.45h.

Mnich

Klasyczna IV+;
Marcin Wernik 24.07.2004r. bez asekuracji.

Ekstremalne hakówki Tatr Zachodnich

Tekst i zdjęcia: Tadek Grzegorzewski/MONTANO

Po powrocie z Mekki wspinaczki hakowej Doliny Yosemite postanowiłem powtórzyć kilka dróg hakowych Tatr Zachodnich. Czulem pewien niedosyt w związku z wcześniejszym powrotem do Polski i nieukończeniem drogi z Mackiem i Jackiem. Razem z moimi kompanami - Pawłem Jachymakiem i Andrzejem Chrobakiem - postanawiamy zrobić pierwsze powtórzenie **Oblawy na Organach A2+**. Obszerny artykuł o tej i innych drogach na Organach ukazał się w jednym z numerów AZero („Oblawa” na Organach, w AZero 1(3)/2002). Gdy czytałem ten tekst, nasunęło mi się pytanie: dlaczego autorzy Oblawy, po dwóch dniach „walki”, wycenili pierwszy wyciąg na A1? Odpowiedź znalazłem szybko - prowadząc pierwsze metry na skyhookach i bethookach, i zaliczając ośmiometrowy lot ze źle wywierconej dziurki po bethooku. Do stanowiska doszedłem z naciągniętym ścięgnem, gdyż polecałem również w chwili instalowania frienda, a moje palce nieszczęśliwie zacisnęły się na linie od niego. Podniosłem wycenę pierwszego wyciągu na A3!! Drugi wyciąg, A2+, prowadził Paweł, a trzeci, A1+, Andrzej. W tym samym składzie powtarzamy **Kiedrowskiego A3** - niezwykle piękną i eksponowaną drogę na Raptawickim Mnichu. Tym razem pierwszy wyciąg prowadzi Paweł, drugi - Andrzej. Po drugim wyciągu, około 19.00, Andrzej namawia mnie, abym ruszył na ostatni wyciąg A3. Ja jednak nie zgadzam się. Mając

w perspektywie haczenie po nocy i ewentualne zjazdy w wywieszanej ścianie postanawiamy zaporęczać urobiony odcinek. Na drogę powracamy po dwóch tygodniach. Nie ma z nami Pawła, który uległ wypadkowi podczas innej wspinaczki. Okazuje się, że wcześniejsze obawy związane ze wspinaniem w nocy nie sprawdziły się i po godzinie docieramy na szczyt. Schemat ostatniego wyciągu jest źle wynisowany w przewodniku. Droga biegnie w lewo, a następnie prosto w górę, a nie trawersuje w prawo, jak sugeruje przewodnik. Ostatni wyciąg przeceniłem na A2. Nity na tej drodze, mimo że mają 30 lat, są wciąż w dobrym stanie (przynajmniej utrzymywały ciężar ciała). Prawdopodobnie zrobiliśmy pierwsze lub drugie powtórzenie **Kiedrowskiego**.

Kolejny cel to **Pański Krzyż** na Wielkiej Turni A3+, VI. Tym razem moim partnerem jest Adam Kokot, który prowadzi pierwszy wyciąg - klasyczny. Drugi jest hakowy, więc przejmuję prowadzenie. Po przejściu drugiego i trzeciego wyciągu jesteśmy pod kluczową płytą. Niestety, biegunka która nas dopadła, zmusza nas do przerwania wspinaczki i o 16.00 jesteśmy na dole. Postanawiamy zabiwakować w kolebie i następnego dnia działać dalej. Rano przyszło jednak załamanie pogody i zmuszeni zostaliśmy do powrotu do domu. Po trzech dniach małpujemy po naszych poręczach. Kluczowa płyta, niestety - bardzo krucha, wymaga ogromnej czujności.

Paweł Jachymiak i Grześ Kubicki na stanowisku nad okapem, Nauka Haczenia A4, Wielka Turnia





Nauka Haczenia A4, Wielka Turnia
Paweł Jachymiak w okapie, nad nim kluczowa płyta



Małpowanie w ostatnim dniu wspinania

Haki wbijamy między luźne i dudniące płyty oraz przepinki w skyhookach. Przede mną jeszcze jeden wyciąg, ale postanawiam go połączyć z poprzednim i nie przenosić stanowiska. Po dotarciu do spita z ostatniego wyciągu, częściowo czyszczę poprzedni, aby odzyskać sprzęt. Po dojściu do przelamania czołowej ściany, na wysokości górnych pótek, przeżywam prawdziwy horror. Muszę wejść klasycznie w przewieszone trawki, ale kruszyzna jest taka, że wcześniej muszę zwalić na dół tony głazów. Na półkach postanawiam już nigdy nie haczyć w wapieniu. Adam, po dotarciu do mnie, opowiada o czyszczeniu haków. Siedząc na półce zastanawiałem się, dlaczego nie słyszę odgłosów wybijanych haków. Okazało się, że Adam po prostu wieszał się na haku, a ten po prostu wyskakiwał pod obciążeniem. Górną część drogi przechodzimy częściowo własnymi wariantami, gdyż niemożliwe okazuje się wkoszenie wyciągu zimowego o szóstkowej wycenie. Są to pojedyncze trawki na płycie, które w lecie nie trzymają się kupy. Z górnych pótek patrzymy na końcowy odcinek płyty z **Nauki Haczenia**. W tej chwili nie zdaję sobie sprawy, jak szybko zapomnę o złożonej sobie obietnicy i jak szybko zmierzę się z kultową drogą Jasia Muskata: **Nauka Haczenia**. Jeszcze dwa lata temu nie marzyłem o niej, a teraz stoję pod ścianą i za chwilę wbiję się w pierwszy wyciąg. Pomimo letniej pory postanawiamy iść oryginalną linią. Podczas pierwszego powtórzenia,

a zarazem pierwszego przejścia letniego, zespół Bittmara uznał ten teren za niewkaszalny latem i ominął go „Kominem Mroza”. Nie skorzystaliśmy również ze stanowisk opitowanych przez Kubere, gdyż uciekały one w prawo na płyty. Wyciągi doprowadzające do wielkiego okapu, pomimo niewyogórowanych trudności hakowych i klasycznych, dostarczyły wielu emocji. Najtrudniej było wejść w pionowe trawki z hakówki i zacząć wspinąć się klasycznie. Jeśli chodzi o spity, które pojawiły się na drodze, to przyspieszają one zakładanie stanowisk, ale również bez nich bez problemu można by zbudować solidne stanowiska. Przejściem górnych partii, tzn. okapem i płytą, podzieliłem się z Pawłem Jachymakiem. Pokonanie okapu zajmuje mu 4.5 godziny i jest bardzo wyczerpujące. Pomimo wczesnej pory postanawiamy już się nie wspinąć i zaporęczać urobiony teren. Jak to nazwał członek naszego teamu Montano - Maciek Ciesielski, jest to styl „Zakopiański”. Styl stylem, ale równie ważna jest zabawa i dobre piwo po robocie. Na drogę wracamy po trzech dniach. Jest z nami niedawny kursant Jacka Jani - Grzesiek Kubicki, który postanowił uwiecznić przejście na video. Wyciąg zajął mi 5.5 godziny i okazał się najtrudniejszym jaki robiłem w Tatrach. Po tym przejściu postanowiłem powspinać się klasycznie.

Krotki film do obejrzenia na stronie www.zanik.pl

opracowanie: Artur Paszczak
fot: Mariusz Wilanowski



Grzędą MSC i lewą część Kotła, drogi od lewej: możliwość, *Rosyjska Ruletka IV+A1e 90*, *Poziomki Orzeł z Epiru M7-A1*, *Parada Jedynek M7?*, *Innominata M7- A2+*, *Uskok Laborantów V A2*.

Kocioł i Kazalnica

W listopadzie ubiegłego roku odwiedziliśmy - w składzie; red. Wilan, Bakteria i Irenka, Artur Sułowski i niżej podpisany - kocioł Czarnego Stawu pod Rysami. Obeszliśmy

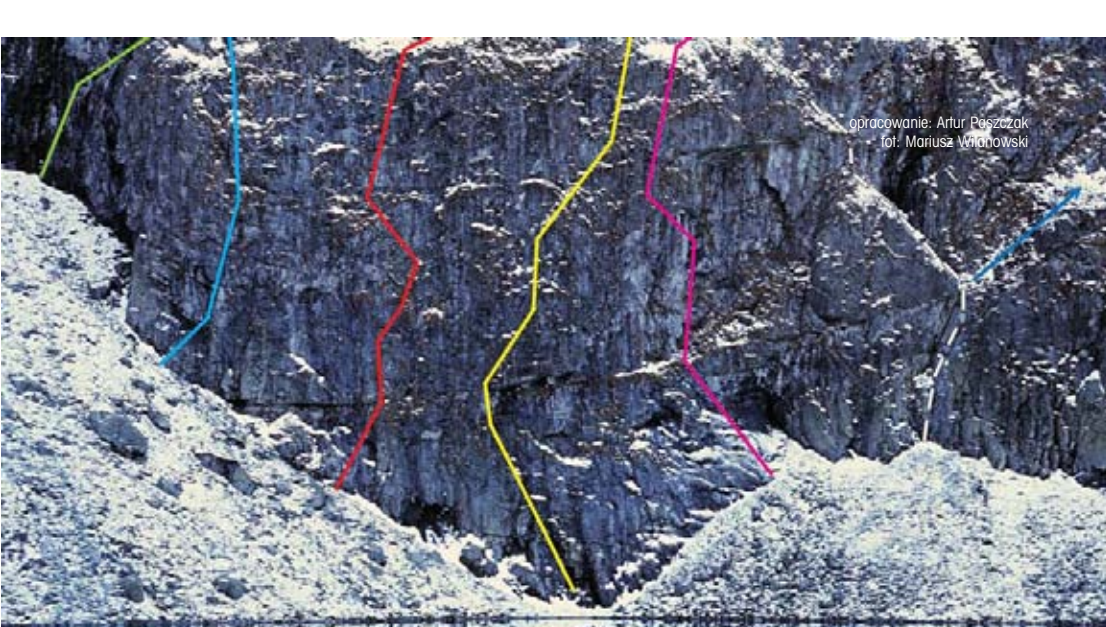
całą ścianę Kazalnicy i Kotła, a nawet wdarliśmy się do WCK. Plonem tej eskapady jest bogata dokumentacja fotograficzna ścian Zerwy, której część pragniemy Wam zaprezentować. Jeżeli ktoś z Was przemierzając długi mur



Truskawki IV+, Berbeka-Salyga III, Skłodowski V+, Cień Wielkiej Góry M6. Długosz-Popko M7-,

Kazalnicy zastanawiał się kiedyś, gdzie startują te wszystkie słynne drogi, to mam nadzieję, iż to opracowanie udzieli mu takiej odpowiedzi. Oczywiście, że względu na specyficzne ugięcia ściany nie wszystkie drogi

udało się wysować w sposób absolutnie jasny (co do niektórych jest to jedynie przybliżenie), ale mimo wszystko taka wycieczka pod ścianą Kazalnicy będzie pewnie ciekawa.



opracowanie: Artur Paszczak
 fot: Mariusz Wilanowski

Kazalnica, wejścia dróg w rejonie Ostrogi. od lewej: *Dag V+ A2*, *15.10 do Yumy V+ A0 A2+*, *Superparanoja V+ A0 A2+*, *Filar V+A0 (M?)*, *Wish You Were Here V+ A3*, wejście normalne (pod Ciemne Zeberko), *Lapiński-Paszucha V+ A1*.



Kociół, skrajnie prawa część, rejon *Wlk. Zacięcia* zwany sympatycznie "piwnicą", od lewej:

Ściek V+ A2+,
Czok-Kielkowski V+ A3,
Wielkie Zacięcie V A2+,
Dag V A2,
Ostatni Mohikanin V+ A3,
Kant Wielkiego Zacięcia V+ A3,
Długosz V+ A1.

opracowanie: Artur Paszczak
 fot: Mariusz Wilanowski



opracowanie: Artur Paszczak
fot.: Mariusz Wilanowski

Kociol, część środkowa, od lewej: *Uskok Laborantów V A2*, *Hobrzański-Sulowski V+ A0* (zimowy wariant *Stefki A2*), *Sioły Dym V+ A2+*, *Stefko-Szmeja A2+ M6+*, *Hobrzański-Sulowski wariant oryginalny V A0*.



opracowanie: Artur Paszczak
fot.: Mariusz Wilanowski

Kociol, prawa część, od lewej: tzw. *trzecia rysa* (zapych, prawd. nie robiona), *Stefko-Szmeja A2+ M6+*, *Hobrzański-Sulowski V+ A0*, *Madejezyk-Paszczak A2+/A3*, *Polak w Kosmosie A2/A2+* (wrysowany wyciąg to obecnie *A1+*), *Sprężyna V+ A1*.



Kazalnica, prawa część, od lewej: *Lapiński-Paszucha V+ A1*, *Schody do nieba M7-1xA0* (propozycja), *Droga na Hell V+ A1+*, *Korosadowicz IV+*

Zadni Kościelec

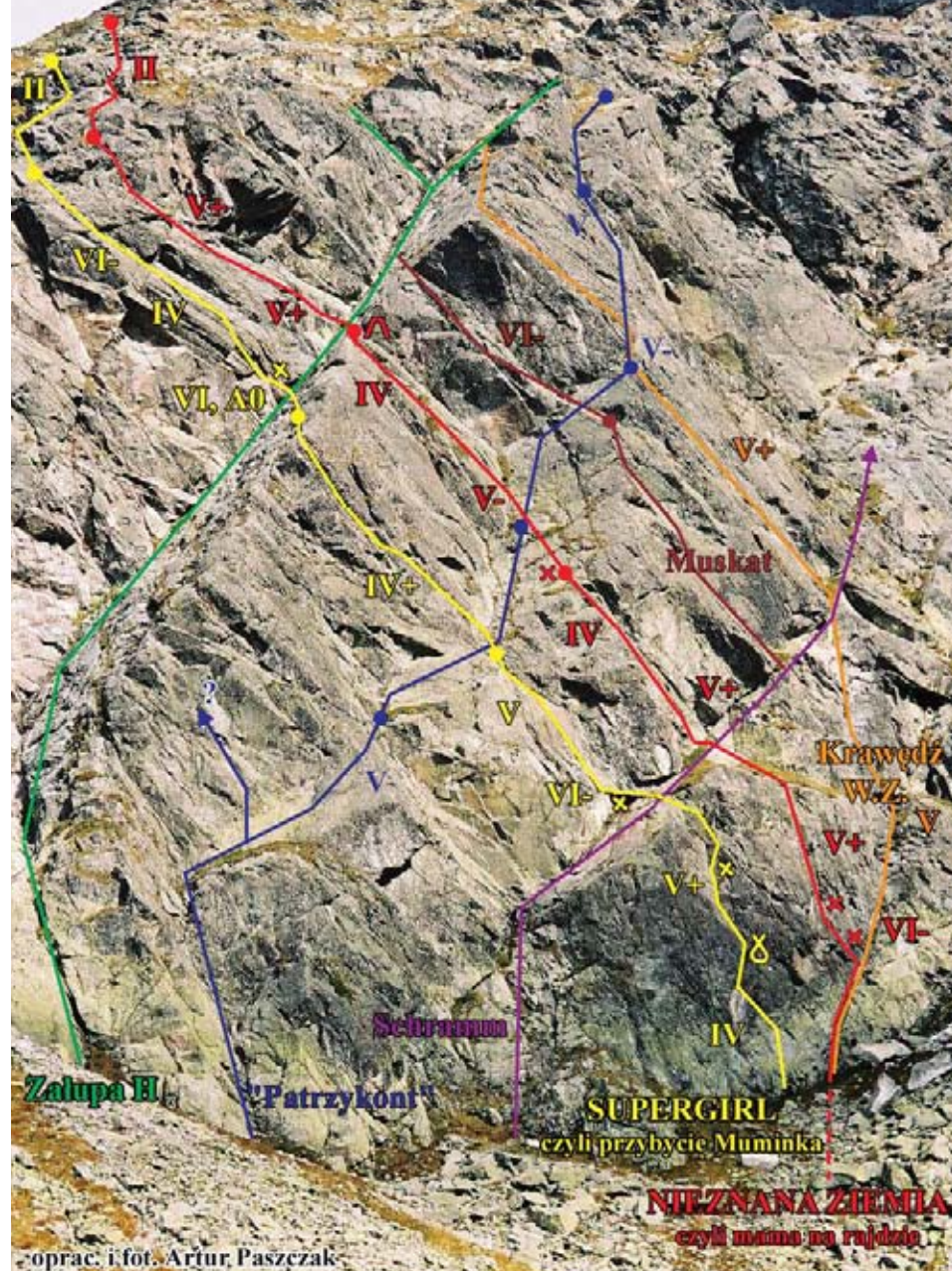
Zachodnia ściana Zadniego Kościelca pozostaje w cieniu swej większej sąsiadki, ale może stanowić ciekawe uzupełnienie wspinaczek na tejsze, bo połączenia dróg na Zadnim z tymi na właściwej zachodniej Kościelca daje w sumie 3-4 wyciągi wspinania więcej i oszczędza uciążliwego podejścia po piargu.

Niniejsze opracowanie pokazuje przebieg wszystkich dróg za wyjątkiem lewego filara. Jak wiadomo w ostatnim czasie ściana wzbogaciła się o 5 nowych linii, toteż niniejsze opracowanie może się okazać przydatne. Ostatnią z nowości jest „Alien” VI, którego pierwszego powtórzenia dokonali Mikołaj Hotówko i Radek Kołodziński.

Powtórzenia „Pogromców wampirów” dokonali bracia Kieniewicz, a „Nieznanej Ziemi” (jednak bez ostatniego wyciągu) – Artur Paszczak, Paweł Zdunek i Jacek Zajac. Pozostałe nowości – „Muskat” i „Supergirl” – nie były jeszcze próbowane.

Jeżeli nie wspinaliście się na tej ścianie to bardzo zachęcam – wspinaczki nie są długie, ale dość eksponowane. Skala jest lita, asekuracja przeważnie dobra. Na najpopularniejszym (i chyba najpiękniejszym) tzw. „Patrzykonicie”, haki nie są potrzebne, jednak na pozostałe drogi mały zestaw na pewno się przyda. Ściana jest łatwo osiągalna z kolejki, powrót nawet przez Halę również nie stanowi problemu.

**Zadni Kościelce,
ściana zachodnia**





opracowanie: Artur Paszczak
fot: Radek Kołodziński

Olejarnia w dolinie Małej Łąki. Od lewej: *Kep Going M5* (Kacperek, Milewski 1999), *Tura Artura M5* (Luczak, Kacperek 1999), *Wycieczka do Polski M7-/M7* (Madejczyk, Paszczak, Synnott 2004), *Male jest piękne, M7-/M7* (Dutkiewicz, Jania, Pawluśkiewicz 2000).

Olejarnia

Ta mała ściana położona vis-à-vis Wielkiej Turni robi w ostatnim czasie coś w rodzaju kariery, a to ze względu na rozwijający się dry-tooling. Wspinaczki na Olejarni są krótkie, ale fajne, wszystkie drogi są pokonywane klasycznie. Szczególnie znana jest droga „Małe jest piękne”, w której ukłasyznieniu brał ważny udział nasz wiceprezes Zbyszek Skierski.

Zeszłej zimy, razem z Wieśkiem Madejczykiem, poprowadziliśmy OS „Wycieczkę do Polski” M7- w towarzystwie Marka Synnotta. Droga zawiera parę zajmujących pasaży i może stanowić uzupełnienie wspinackowego popołudnia.

Kozie Czuby, 2226 m.

Opisana tutaj ściana zachodnia opada do Koziego Żlebu i Pustej Dolinki płytową ścianą o wysokości ok. 120 m. Jest więc porównywalna z pd-wsch ścianą Zamarłej Turni, ale jej stan eksploracji jest w porównaniu z tamtą minimalny.

Do roku 1993 istniała na niej - wedle moich najlepszych informacji - tylko jednak droga, Motyki i Orenburga z 1936 r. Jest to bardzo ładna linia, jednakże nie powtarzana od wielu lat. W 1993 roku wytyczyliśmy z Alicją „Jesień Muminków”, która okazała się być bardzo ładną drogą. Szczególnie wyciąg trzeci - niesłychanie powietrzny, lity, z doskonałą asekuracją - zapadł nam głęboko w pamięć. W 1995 r. wyprostowaliśmy drogę u dołu, obecnie startuje ona wprost ze ścieżki. Jedyнным fragmentem, na którym wymagana jest wzmożona uwaga - ze względu na biegnący poniżej szlak - jest koniec pierwszego i początek drugiego wyciągu. Zalegające trawnik kamienie łatwo jest strącić, także liną, co z pewnością nie byłoby dobrze przyjęte przez stłoczonych na Orlej Perci turystów.

Na ścianie jest jeszcze sporo miejsce na nowe realizacje, szczególnie lita lewa część może oferować całkiem niezłe pasaże.

КОДИ СЪЮЗ
76062 ПУМНИКОВ
1993, V, 2h
ПУМНИКОВ

[illegible]

Kozle Czuby, drogi na zach. ścianie:

Wołowa Turnia (Volia Veža), 2373m

fot. Mariusz Wilanowski

oprac. Artur Paszczak



Drogi na południowej ścianie, od lewej:

Stupid Wall, Wolf-Lienerth 2001, VII (spity); *Filar Puskasa*, 1947, V+/VI, miejsce VI+;
Polsky Variant, Wolf-Wolf 1975, VII/VII+ A2; *Orolin*, 1968, VII/VII+, *Estok-Janiga*,
1962, VII-; *Hvezdova Cesta*, Kulhavy-Sulovsky 1975, VI; *Stanislawski*, 1931, V-
(wariant Puskasa wprost do góry kominem 1946, V); *Staflowa*, 1935, V-.

Wołowa Turnia, 2373 m

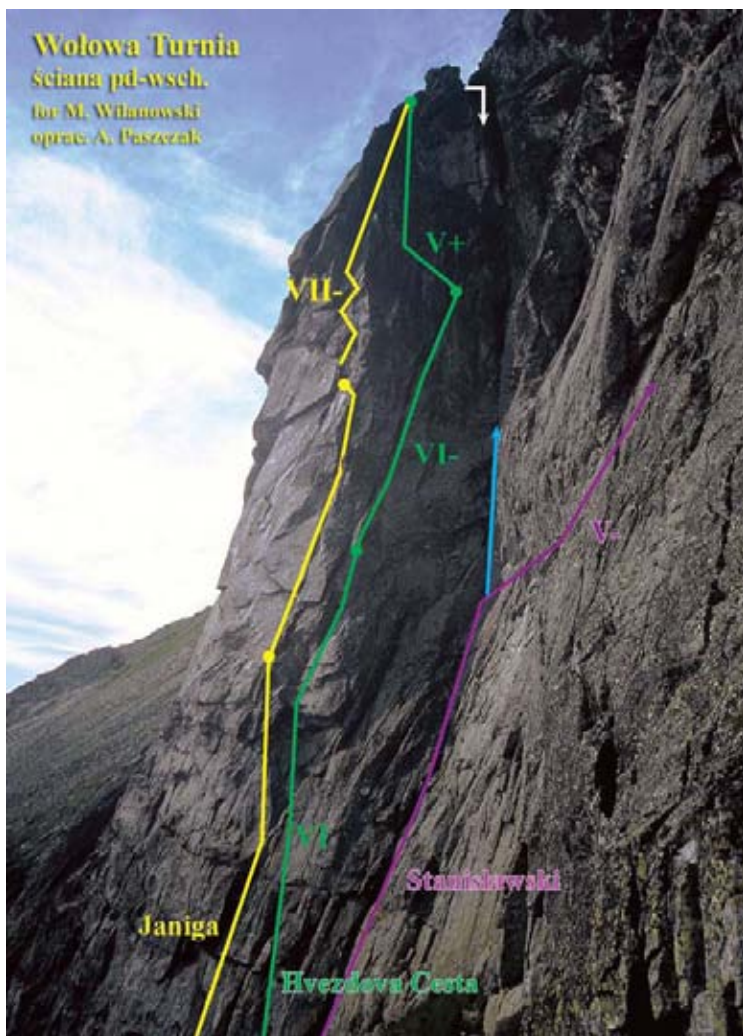
Południowa ściana Wołowej Turni jest - mimo niewielkich rozmiarów (wspinaczki mają deniwelację do ok. 120 m) - jedną z najpiękniejszych skalnych ścian Tatr. Wiodące nią drogi są lite, piękne i oferują doskonałe wspinanie w dużej ekspozycji.

Niniejsze opracowanie nie jest monografią, pokazuje jedynie najpopularniejsze drogi tak, jak są one obecnie uczęszczane. Na części z nich znajdują się stałe stanowiska z ringów, ale pomimo tego parę własnych haków może się przydać. Jedynie na „Janidze” są one całkiem niepotrzebne, aczkolwiek i tam ostatniego stanowiska próżno by szukać.

Wszystkie drogi w lewej części kończą się na dużej półce, z której dwa zjazdy (25 i 55m) prowadzą nas bezpiecznie na taras wejściowy. Na tenże taras można się dostać zarówno od dołu (od lewej) jak i od prawej, z tym, że zejście zdecydowanie jest wygodniejsze z prawej.

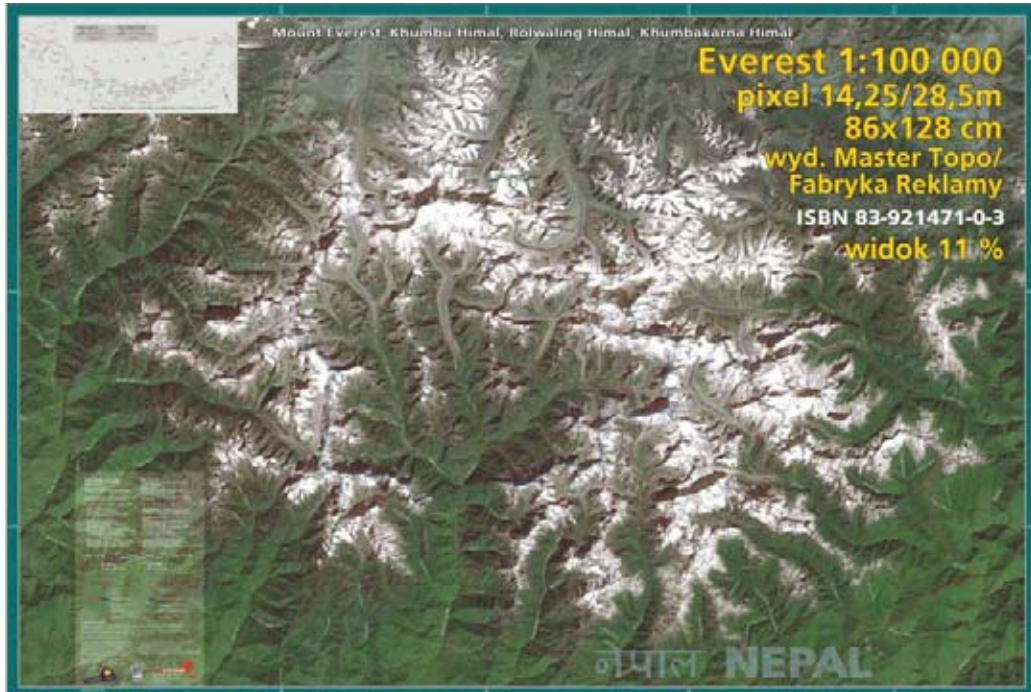
Wszystkie opisane tu drogi są wspinialnymi wspinaczkami. „Stupid Wall” jest być może lekko niedooceniony, i jest to - obok „Wolfa” - jedyna droga której tam nie robiłem, dlatego nie mam na jej temat wyrobionego zdania. Pozostałe polecam gorąco, podane wyceny są takimi, jakie uważaliśmy za rzetelne. Słowackie przewodniki podają niekiedy dziwne numerki, niezbyt przystające do rzeczywistości.

W mojej opinii, najpiękniejszą drogą na ścianie nie jest wcale bardzo popularny „Estog-Janiga”, ale „Orolin”. Wyciąg prowadzący przez okapy jest najpiękniejszym, najefektowniejszym wyciągiem jaki pokonałem w Tatrach - po prostu zapiera dech w piersiach! Oczywiście w niczym nie umniejsza to urody „Janigi”, która jest wspinaczką naprawdę klasową. Śąsiadująca z nią „Hvezdova Cesta”



wcale wiele jej nie ustępuje i jest również godna polecenia. Drogi na płytach z prawej strony są łatwiejsze, ale ze względu na lity charakter i dużą estetykę cieszą się ogromną popularnością. Na pewno warto zrobić „Stanislavskiego” choćby po to, aby docenić śmiałość starych mistrzów skały.

Wołowa jest ciekawą alternatywą dla wspinaczek w polskiej części Tatr. Wyjeżdżając z Zakopanego o 7, pod ścianę dociera się ok. 11, co pozwala spokojnie zrobić dwie drogi. Podejście pod Wołową z parkingu przy „elektryczce” zajmuje ok. 2.5 godziny i nie jest wcale uciążliwe. Popas w Chacie przy Popradzkim Plesie daje wytchnienie i dzieli podejście na dwie przyjemne tury. Zejście jest naprawdę szybkie, w półtorej godziny można się znaleźć przy samochodzie.



Dwie nie spotykane dotąd w druku satelitarne mapy gór najwyższych opracowano i wydano na przełomie roku za sprawą członków naszego klubu.

1. Mount Everest, Khumbu Himal, Rolwaling Himal, Khumbakarna Himal 1:100 000.

Egzemplarze sygnałnej mapy były dostępne już 28 listopada na Zjeździe PZA, właściwy nakład trafił do sprzedaży w początkach grudnia. Autorem mapy jest Jan Żurawski, wydawcą MASTER TOPO-Fabryka Reklamy (marka znana już z plakatów tatrzańskich i El Capa). Dane pochodzą z satelity Landsat 7 z jesieni 2000 i mają rozdzielczość terenową 15 i 30 m. Format 90 x 130 cm (druk z rzadkiego formatu B0), tylko rolowane, na grubym papierze. Legenda dwujęzyczna, na osobnej kartce B4 tekst wprowadzający. Podkreślimy, że najbliższe otoczenie Everestu ma już

doskonale mapy tradycyjne i kartowania naziemne oraz lotnicze, dokonane za sprawą National Geographic i Bradforda Washburna, a wcześniej Erwina Schneidera (w tym i Rolwaling). Jednak dostępne mapy (zwłaszcza turystyczne) innych masywów i regionu bardzo słabo oddają rzeźbę wysokogórską i kończą się na granicy Tybetu. Nasza mapa jest więc kapitalnym uzupełnieniem, pozwala ogarnąć całość popularnego wśród trekkerów terenu oraz zajrzeć daleko ku północy.

2. Miesiąc później ukazała się drukiem z dawna zapowiadana mapa satelitarna „K2 and Baltoro Glacier” 1:80 000. Jej autorem jest Grzegorz Głazek, wydawcą PZA. Dane pochodzą z satelity SPOT 4, kanał monospektralny (skala szarości) o rozdzielczości 10 m, z zimową aurą z listopada 2001 roku. Uzupełnienie stanowi zdjęcie z Landsata 5 i 7 (lewy brzeg) o rozdzielczości 15m i 30 m, które łączył mimo dużych zniekształceń geometrycznych głównego obrazu ze SPOTa. W ten sposób jedna dokładna mapa objęła konsekwentnie całą dolinę lodowca i całą grupę Baltoro Muztagh, czego dotąd brakowało. Legenda tylko po angielsku. Format B1 (68x99 cm). Wersje: składana (cienki papier) w kieszonce, tańsza, oraz zrolowana (gruby papier i lakier).

Obraz ze SPOTa ma bardzo dużą plastykę dla terenów śnieżnych i lodowych, nieosiągalną dla Landsata. Wnosi wiele korekt i szczegółów co do rzeźby lodowców, zbroczy i grani. Dokładność zdjęcia pozwala na planowanie dróg wspinaczkowych nawet podręcznymi graniami i filarami.

Jest to pierwszy w ogóle dostępny drukiem tak dokładny obraz satelitarny tego rejonu (przed laty ukazała się mapa NASA całego Karakorum 1:500 000). Należy pamiętać, że były to i są obszary sporne trzech państw, zaś wszelkie pomiary robione z ziemi i lotnicze podlegają jurysdykcji tych państw i tym samym regulacji. Komercyjnych obrazów z satelitów takie ograniczenia nie dotyczą.

Mapa K2 i Baltoro była już we fragmencie prezentowana w Higu (nr 258, maj 2004, s.60 i 59, zob. www.nyka.home.pl Gazeta Górską 30 maja) i tam pozytywnie zaopiniowana.



Zgodnie z wypowiedzią Grzegorza Głazka na ostatnim zjeździe PZA, sposoby realizacji obu map pozwalają porównać alternatywne rozwiązania organizacyjne dla podobnych wydawnictw przyszłości.

Jedna z map (Everest) została opracowana i wydana całkowicie niezależnie, jedynie z niewielkim w wsparciem od PZA (zakup awansem 30 sztuk). Druga (z bardziej szczegółowymi czyli droższymi danymi) została opracowana w ramach Centrum Dokumentacji Wysokogórskiej (CDW) przy PZA i wydana z jego funduszy. Związek jest w sensie formalnym wydawcą i ma prawo do przychodów z mapy. Dopiero po wydrukowaniu mapy zdecydowano, że dystrybucją nakładu zajmie się także MASTER TOPO/Fabryka Reklamy, przy czym Związek pozostawił sobie znaczną pulę na wewnętrzne potrzeby i w celach promocyjnych.

W praktyce mapa Baltoro jest dystrybuowana podobnie jak mapa Everestu. Sprzedawcami obu map są m.in. Sklep Podróżnika (www.traveler.com.pl) i Antykwiariat Górski Filar (www.antykwiariat-filar.pl), sprzedają zagraniczną www.topkart.com.pl. O dalsze adresy można się dowiadywać u wydawców i autorów: fabre@polnet.cc, janek.zurawski@poczta.onet.pl, glazekg@wp.pl.

W obu przypadkach dane dostarczyła firma Geosystems Polska, przy czym koszt danych ze SPOTA był znaczny (ale zdjęcie to wykorzystano najpierw dla telewizyjnej oprawy wyprawy zimowej na K2). Na marginesie, prezesem tej firmy jest Witold Fedorowicz-Jackowski, członek KW-Warszawa, kartograf, który m.in. pośredniczył niegdyś w przekazywaniu materiałów między Andrzejem Zawadą a Bradfordem Washburnem przy jego słynnej mapie Everestu.

Dodajmy, że konsultantem mapy Everestu był Janusz Kurczab, który także udostępnił cenne materiały o Baltoro, zaś Maciej Popko pomagał w językowej weryfikacji nazewnictwa. Można zatem powiedzieć, że była to niemal „wewnętrznyklubowa” satelitarna robota. [gg]



KĄCIK PROPAGANDOWY K.W. WARSZAWA

Oszałamiającym zwycięstwem reprezentacji naszego Klubu zakończył się mecz w piłkę nożną z UKA. Nie podlegająca dyskusji ani na chwilę miażdżąca przewaga taktyczno-techniczna naszych dzielnych chłopców została udokumentowana zdobyciem sześciu goli (w większości wyjątkowej urody). Przeciwnik sporadycznie kontratakując odpowiedział jedynie, choć może należałoby powiedzieć „aż” trzema golami. O świetnej atmosferze w drużynie niech świadczy wypowiedź jednego z naszych zawodników „Trener dbał o nas jak ojciec najlepszy i nie prawda że na treningach dach przeciekał bo tylko trochę padało”. Reprezentantom przeciwnej drużyny życzymy na przyszłość więcej szczęścia i poczucia humoru, są poza wspinaczką i piłką nożną inne dyscypliny np. pływanie synchroniczne.

KW Ultras

Niepokonani, wspaniali, jedyni w swoim rodzaju ... drużyna KWW (od lewej):
dr Know, Bratku, Zdungsiak, Mikołaj „z gotówką”, Wilan, Dżosz, Paszczu, Zdunga

fot: Tomasz Kopyś



INFORMACJE KLUBOWE KW WARSZAWA

Przystąpienie do Klubu i składki:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych - każdy może wstąpić do naszego Klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków - jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść swój wkład w nasz rozwój - serdecznie zapraszamy!

Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty) lub wykaz przejść (może być skałkowych) - to otrzymasz status członka zwyczajnego. Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) - to możesz wstąpić do Klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu. Status uczestnika otrzymują także osoby poniżej 16 roku życia (przy zapisie muszą przedstawić pozwolenie od rodziców).

Składki:

1. Uczący się do lat 26 - opłata roczna 40 PLN + 40 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (od lipca) składka 30 PLN + wpisowe 40 PLN,
2. Osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 60 PLN + 60 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku - składka 40 PLN + wpisowe 60 PLN,
3. Instruktorzy - 50% niższy w składce i wpisowym,
4. Dzieci i młodzież do lat 26, jeżeli oboje z rodziców są członkami KWW - 50% niższy w składce i wpisowym,
5. Dzieci i młodzież do lat 26 posiadający jednego rodzica - 50% niższy w składce i wpisowym,
6. Członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA - bez wpisowego,
7. Emeryci i renciści bezpłatnie,

Zapisać się do Klubu i opłacić składki można:

1. Osobiście - we wtorki w godzinach ścianki klubowej (ul. Nowowiejska 37B, godz. 20-22) lub w lokalu klubowym (ul. Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl lub sp. rowdzić telefonicznie - 754-15-38)
 2. Korespondencyjnie - opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto: Millennium Big Bank SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085 i przysyłając dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu - www.kw.warszawa.pl . Przystępując korespondencyjnie - legitymacja zostanie wysłana pocztą (złóżcie wkłesisz samemu!).
- Prosimy o rzetelne wypełnianie formularza i podanie co najmniej jednego numeru telefonu czy też e-maila. Dane kontaktowe naprawdę są potrzebne. Wpłacając kwotę na składkę i wpisowe określasz sam na podstawie powyższych informacji o opłatach (w polu 'Info o zniżkach' należy wpisać odp. informację - np. Nr legitymacji innego klubu, Nr licencji instruktorskiej). Prosimy w imieniu rodzin, którym pomagamy o dodatkowe dobrowolne wpłaty na Fundusz Berbeki - z góry DZIĘKUJEMY !

Wyjazdy klubowe:

Co roku Klub Wysokogórski Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczki oraz wymianę doświadczeń pomiędzy bardziej doświadczonymi a mniej doświadczonymi kolegami(koleżankami) klubowymi. W roku 2005 planujemy zimowy obóz w Dol. Wielickiej i letni obóz w Alpach w rejonie Courmayeur. Klub stara się też wspierać lub organizować inne wyjazdy członków Klubu.

Sekcja wspinaczki sportowej:

W Klubie Wysokogórskim Warszawa powołana została do życia sekcja wspinaczki sportowej. Jej celem jest wyłonienie spośród członków KW osób wyróżniających się we wspinaczkę sportową i umożliwienie im treningu jak również startu w zawodach wspinaczki sportowej. Przewidziane jest dofinansowywanie na zawodach jak również dodatkowe wynagrodzenia dla najlepszych zawodników. Wszelkie zapytania oraz wnioski dotyczące sekcji prosimy kierować do Grzegorza Graczyka ggraczyk@op.pl

Ścianki klubowe:

Klub Wysokogórski Warszawa wynajmuje obecnie jeden obiekt wspinaczki sportowej. Jest to: ścianka wspinaczkowa w Centrum Wspinania „W Pionie”. Dostępna jest także ścianka na Obozowej - Centrum Wspinaczkowe „On Sight”. Do korzystania z wyżej wymienionych obiektów upoważnieni są, w trakcie godzin klubowych, wyłącznie jego członkowie

mający uregulowane składki na bieżący rok.

Nowowiejska
Centrum Wspinania „W Pionie” - Nowowiejska 37B - wtorki w godz. 20.00-22.15, opłata 10 PLN
Obozowa
Hala Sportowa Kolo - Obozowa 60, Centrum „On Sight” - czwartki w godz. 19.00-22.00, soboty w godz. 16.00-22.00 opłata 10 PLN

Informacje:

Lokal klubowy
ul. Noakowskiego 10/12
Warszawa

Korespondencja
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

NIP
526 16 90 727

REGON
000987911

KRS
0000122453

Konto
Millennium Big Bank SA
87 1160 2202 0000 0000 1850 2085

Sekretariat
Wtorki 19.30-22.30
ul. Nowowiejska 37B

Internet
<http://kw.warszawa.pl>

E-mail
klub@kw.warszawa.pl

E-mail administratora serwisu
admin@kw.warszawa.pl

Kursy i szkolenia:

Komisja Szkolenia organizuje kursy wspinaczkowe dla początkujących i zaawansowanych w trybie całorocznym. Szkolenia prowadzą instruktorzy z naszego klubu, współpracujemy też z instruktorami z całej Polski. Komisja Szkolenia KWW przeprowadza egzaminy środowiskowe na Kartę Wspinacza i Kartę Tatelnika.

Oferujemy wszystkie rodzaje kursów według schematu szkolenia wspinaczkowego Polskiego Związku Alpinizmu: <http://www.pza.org.pl/szkolenie>, oraz dodatkowe przygotowywane według programu autorskiego przy realizacji konkretnych zamówień.

Zniżki i rabaty:

Informujemy, że dla członków KWW z opłaconymi składkami członkowskimi za bieżący rok za okazaniem legitymacji klubowej otrzymują zniżki w następujących firmach:

1. Sklep Górski Kanion ul. Piękna 68 (przy Emilii Plater) - 10% zniżki na zakupione towary (zniżka obowiązuje tylko przy płatności gotówką).
2. Rossignol 10% zniżki na produkty i 20% na usługi - CH Sadyba Best Mall, ul. Powsińska 31; Galeria Mokołów, ul. Włostka 12; Stok Narciarski Szczęśliwiec; Rondo Kuźnice - Zakopane; Stacja kolejki linowej Kasprowy Wierch.
3. PLUS Mountain Bike Shop - 10% zniżki na rowery i akcesoria oraz 20% na serwis. Warszawa - Ursynów, ul. Zamiany 12, tel. 644-29-02, e-mail: plus@rowery.com.pl ; www.rowery.com.pl
4. Malachowski - Pracownia Sprzętu Alpinistycznego. Dla członków Klubu 5-20% zniżki w zależności od produktu (informacje: www.malachowski.com.pl ; malachowski@malachowski.home.pl).
5. Alpins - 10% zniżki w sklepie firmowym. Warszawa, Al. Jerozolimskie 148
6. Sklep Campus - 10%, Puławska 46, centrum handlowe Auchan, wejście od parkingu,
7. Zakopane - sklep Alpins, ul. Krupówki, 10%
8. Zakopane, sklep Extreme, ul. Krupówki 36, 7%
9. Sieć sklepów Campus Jacka Fludera: Kraków CH M1 Aleje Pokoju 67, Sienna 14, Wrocław CH Auchan ul. Karkonoska 5, Katowice Supersam, ul. Piotra Skargi 6
10. Specjalna zniżka na namioty MARABUT: 20% - przy zamówieniach składanych przez Klub.





**WSTĄP DO KW WARSZAWA
ZAPISZ SIĘ PRZESZ INTERNET
WWW.KW.WARSZAWA.PL**